

● „CZERWONE NOCE” ZABUŻAŃSKIEJ AK ● PÓŁ WIEKU POLSKIEGO WYCHODŹSTWA NA WĘGRZECH ● CZY POLSKA MOŻE BYĆ NORMALNYM KRAJEM? ● CZEGO NIE WIDAĆ W MAŁASZEWICZACH? ● KONIEC AMERYKI? ● POLSKA Z OKNA MANHATTANU ● WOJNA POLSKO-RADZIECKA '39

PL 0000-0000

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 28 IX - 4 X 1989 R.

NR 37

CENA 150 ZŁ

NAPISZMY TO JESZCZE RAZ

Henryk Pająk

W latach 1963—65 pisałem Henrykowi Cybulskiemu jego słynną później książkę wspomnieniową pt. „Czerwone noce”. Jest to wciąż jeszcze najpełniejszy i najprawdziwszy, choć zbeletryzowany, dokument rzezi tysięcy Polaków na Wołyniu podczas okupacji hitlerowskiej, morderstw dokonywanych z bezprzykładnym okrucieństwem przez bandy ukraińskich nacjonalistów. Każde z czterech wydań tej książki rozchodziło się błyskawicznie, co zawdzięcza ona dwóm swoim walorom — dramatyzmowi tamtych makabrycznych wydarzeń oraz dokumentalnemu autentyzmowi.

Teraz, po 25 latach, jako autor literacki tego bestselleru pragnę odsłonić rąbek owej golgoty, jaką przeszedł tekst „Czerwonych nocy” na drodze od mojego pióra do druku i półek księgarskich.

NIE wdając się w szersze komentarze, pragnę swymi uwagami postawić i bronić tezę, że literatura wojny i okupacji, ze szczególnym uwzględnieniem stosunków na ziemiach zajętych przez Rosjan, w większości tytułów i zagadnień wymaga po prostu ponownego napisania. Ponownego napisania wymaga też spora liczba dzieł czysto literackich, fabularnych, kreatywnych. Jestem na przykład przekonany, że „Popiół i diament” Andrzejewskiego to nie jest ten „Popiół i diament”, jaki Andrzejewski chciałby naprawdę napisać.

„Czerwone noce” to nie powieść, tylko reportaż historyczny. A skoro tak, to obowiązuje tu sucha prawda. Z tą zaś bywało różnie. To nie są te „Czerwone noce”, które wespół z ich formalnym autorem — Henrykiem Cybulskim chcieliśmy napisać 25 lat temu. Pisyaliśmy tę książkę w czasach, gdy stosunki między partyzantami polskimi i radzieckimi na terenach wschodnich mogły być przedstawiane wyłącznie w barwach sielankowych.

Tymczasem liczni żyjący uczestnicy tamtych wydarzeń wiedzą, że niektóre fakty opisane w „Czerwonych nocach” miały się nieco inaczej, a jeszcze inne — zupełnie inaczej. Nieubłagany i czujny cenzor warszawski (książkę wydawał MON) ucinał krótko i bezwzględnie liczne próby negocjacji, podejmowanych przez nas dla ratowania niektórych fragmentów i faktów. Była to jednak dyskusja z dowódcą plutonu egzekucyjnego. Albo wasza zgoda na cięcia, albo tekst do szuflady!

Cóż było począć? Co wybierać? Przyjmowaliśmy dyktat dla ratowania całości sprawy. Postępowaliśmy tak, jak postępowali tysiące innych autorów przed i po nas. Stąd moja teza o potrzebie ponownego napisania tego, co już zostało napisane...

Z POMNIEJSZYCH przykładów cenzorskiej sztywności, dziś już zgola absurdalnej, przytoczę perypetie pewnej fotografii zamieszczonej w „Czerwonych nocach”. Oto tekst książki miał już być wysłany do druku, gdy w Muzeum Wojska Polskiego odnaleźliśmy sztandar Przebraża — miejscowości, która jest zbiorowym bohaterem „Czerwonych nocy”. Tam bowiem, w tej niewielkiej wsi w okolicach Łucka, zgromadziło się około 25 tysięcy uciekinierów z polskich wsi palonych przez bandy nacjonalistów.

Postanowiliśmy zamieścić fotografię sztandaru w książce. Ale cenzor powiedział: nie! A to z dwóch powodów. Po pierwsze, na głowie orła widniała korona. Po drugie, pod spodem biegł napis: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”.

W obronie sztandaru ruszyli wysoko postawieni partyzanci z Przebraża. Dołączył do nich ktoś jeszcze wyższy i politycznie pryncypialny. W rezultacie cenzor poszedł na ustępstwa. Poleciał tak pofałdować płótno sztandaru, aby z fotografii znikła korona, a z napisu — większość nieprawomyślnych słów Roty Konopnickiej. I w takiej kalekiej postaci, pomarszczony niczym zeszloroczny kartofel, sztandar samoobrony Przebraża zaistniał w „Czerwonych nocach”.

KOŚCIĄ niezgody stała się ucieczka Cybulskiego z Syberii. Po wejściu Rosjan na Wołyń, jako leśnik został w pierwszych transportach zesłany na daleką Syberię, w tajgę. Ale był to przedwojenny mistrz Polski w biegu przelajowym w Warszawie z 1935 roku; wiosną 1943 uciekł i po niewiarygodnej ośmiotygodniowej wędrówce dotarł na Wołyń. Przez wiele miesięcy ukrywał się w lasach, parobkował u bogatego Czecha, a potem

Dokończenie na str. 8—9



Symboliczna mogiła ofiar Katynia na wojskowym cmentarzu w Lublinie.

Fot. Waldemar Stępień

WSPOMNIENIE O WRZEŚNIU

AMERYKAŃSKI tygodnik „Time”, gwoli uczczenia 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej, zwrócił się do czołowych osobistości europejskiego życia politycznego i kulturalnego z prośbą o wspomnienie związane z pierwszym dniem września 1939 roku. Wśród indagowanych znalazło się dwóch Polaków: prezydent Wojciech Jaruzelski i pisarz Ryszard Kapuściński.

Oto jak General wspomina tamten czas: „Wciąż pamiętam ten słowny, wrześniowy dzień, świsz-

czący warkot niemieckich samolotów bombardujących bezbronnych uciekinierów, eksplodujące bomby, śwąd palących się martwych koni przy drodze. Zdawało mi się, że niebo zwałiło mi się na głowę. Stosunki między Litwą i Polską nie były dobre i zostaliśmy zatrzymani na granicy, co jeszcze wzmoгло nasze poczucie niepokoju i przerażenia. Byliśmy przekonani, że wkrótce powrócimy do domu, że brytyjsko-francuska ofensywa umożliwi ar-

Dokończenie na str. 7

relacje

ZE ŚWIATA

● Były premier Grecji, Andreas Papandreu, stanie przed sądem pod zarzutem bezprawnego podsłuchiwania rozmów działaczy społecznych i politycznych. Decyzję taką powziął większość głosów parlament grecki.

● Trwa exodus wschodnich Niemców. Do RFN, przez Węgry i Austrię, przybyło już blisko 16 tysięcy obywateli NRD. Granica węgiersko-austriacka pozostaje nadal otwarta.

● W liście skierowanym do ambasady NRD w Rzymie, 264 bezrobotnych Włochów oświadczyło, iż chętnie osiedli się wraz z rodzinami w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Autorzy listu chcą — z jednej strony — poprawić swój byt, a z drugiej — pomóc NRD zapłacić lukę powstałą w wyniku masowych ucieczek obywateli NRD do RFN.

● Amerykańska gazeta „International Herald Tribune” pisze, że RFN subwencjonuje NRD w wysokości ok. 2 miliardów dolarów rocznie.

● Watykan przerwał długie milczenie, by udzielić swego poparcia sprawie przeniesienia karmelitanek z Oświęcimia, i zaproponował swój udział w sfinansowaniu centrum modlitw. Tym samym Stolica Apostolska potwierdziła aktualność porozumień genewskich.

● W czasie wizyty w Wielkiej Brytanii prymas Polski, kardynał Józef Glemp, spotkał się z dziennikarzami na konferencji prasowej w Bristolu.

relacje

Z KRAJU

● Znany dziennikarz i filolog, wybitny znawca literatury rosyjskiej, działacz „Solidarności”, Andrzej Drawicz, został mianowany prezesem Komitetu do spraw Radia i Telewizji. Andrzej Drawicz jest m. in. autorem głośnej publikacji o pierestrojce „Jeszcze Rosja nie zginęła”.

● Dziennikarka „Tygodnika Solidarności”, Małgorzata Nieszabitońska, objęła funkcję rzecznika prasowego rządu.

● 54 milicjantów z Piekar Śląskich wystosowało list otwarty do premiera Mazowieckiego, deklarując pełne poparcie i lojalność wobec rządu. Śląscy milicjanci proponują m. in. całkowite oddzielenie MO od SB i przekazanie milicji etatów zabranych przez SB w 1975 roku, a także całkowite odpolitycznienie tego zawodu, co umożliwiłoby napływ do służby ludzi o różnych poglądach i wyznaniach.

● W odpowiedzi na próby usuwania partii z zakładów pracy, Komitet Centralny stwierdził m. in., że ogniwa

„Kazanie wygłoszone 26 sierpnia na Jasnej Górze — powiedział m. in. prymas — było propozycją, aby w tej sytuacji podjąć nowy szeroki dialog, który doprowadziłby do pełnego porozumienia. Niestety, jego tekst, jak i mojego wystąpienia w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, nie był znany w pełni większości komentatorów wypowiadających się emocjonalnie i z oburzeniem. Prasa wydobyła tylko fragmenty, które służyły atakowi, a nie prawdzie”.

● Premier Izraela Icchak Szamir kategorię odrzucił apel prezydenta Egiptu, Hosni Mubarak, o zrezygnowanie przez Tel-Awiv z ziem okupowanych w zamian za pokój z Palestyńczykami. Propozycję Mubarak określił on mianem „niestosownego żartu”, stwierdzając cierpko, że Arabowie nie są gotowi do zawarcia pokoju z Izraelem.

● Nowy sekretarz generalny KC KP Chin, Jiang Zemin, został zaproszony przez Michaiła Gorbaczowa do złożenia oficjalnej wizyty w Związku Radzieckim.

● Dania przekaże Polsce 40 milionów dolarów pomocy gospodarczej przeznaczonej pierwotnie dla Chin. Królestwo Danii ma siedmiokrotnie mniejszy obszar i liczbę ludności jak Polska.

● Na pekińskim Placu Niebiańskiego Spokoju, gdzie w czasie majowych demonstracji studenci ustawili statuę „bogini demokracji”, stanie niebawem monumentalna rzeźba ku czci 40-lecia ChRL. Kompozycja będzie się składać z czterech figur: żołnierza, robotnika, chłopca, inteligenta, symbolizujących jedność narodu w walce o socjalizm.

● Na konferencji prasowej w Mo-

PZPR „działają na rzecz spokoju, łagodzenia napięć i konfliktów, na rzecz rzetelnej i dobrze zorganizowanej pracy, niezbędnej dla wyprowadzenia kraju z kryzysu”.

● Z wystąpienia sekretarza KC, Leszka Millera, na XV Plenum KC PZPR: „Exposé premiera jest zbyt ogólne, aby można było zająć precyzyjne stanowisko. Dlatego też mówimy »tak, ale«. »Ale« oznacza, że nasz udział i poparcie nie może oznaczać bezkrytycznego stosunku do wszystkich jego działań i inicjatyw. Zwłaszcza tam, gdzie polityka rządu będzie stwarzać nadmierne zagrożenie dla ludzi ciężkiej i uczciwej pracy w mieście i na wsi”.

● Średnią płacą w pięciu podstawowych działach gospodarki wynosiła w sierpniu 241,6 tys. złotych. Autorzy tej rubryki mają widocznie pecha, gdyż większość znanych im osób lokuje się znacznie poniżej średniej krajowej. Widocznie inteligencja nie mieści się w pięciu podstawowych działach gospodarki.

● Z rozmowy „Życia Warszawy” z Romanem Neyem, posłem na Sejm (PZPR), sekretarzem naukowym PAN: „— Po kilkudziesięciu latach »urawniłowki« mamy ten system we krwi.

— Nasz system gospodarowania jest w ogóle bardzo zły. Interes można zro-

bić na kombinacjach, na ruchu cen, a nie na produkcji. Reguły gry są niejasne, można je dopasować do różnych układów. Przy braku konkurencji, niewymienialności złotówki, jesteśmy w kleszczach ustawicznego monopolu, który nami rządzi. [...] Mówi się na przykład: zamknąć nierentowne kopalnie węgla. Byłoby to bardzo słuszne, gdyby ten węgiel można było kupić sobie taniej za granicą, ale przecież takiej możliwości nie ma”.

● Nieznani sprawcy sprofanowali cztery groby żołnierzy radzieckich na cmentarzu w Brnie. Ostatni, podobny akt wandalizmu miał w Czechosłowacji miejsce w czerwcu 1987 roku.

● Enerdowscy eksperci przewidują, że od 2000 roku elektrownie bazujące na węglu będą w NRD stopniowo zamknięte i zastępowane elektrowniami atomowymi. W 2040 roku cała energetyka tego kraju oparta będzie na paliwie jądrowym, co — zdaniem prof. Karla Rambusha — sprzyjać będzie również ochronie środowiska.

● Do końca roku Węgierska Socjalistyczna Partia Robotnicza przekaże rządowi mienie wartości 2 miliardów forintów. Z sumy tej będzie finansowana działalność innych partii politycznych.

● W rumuńskich podręcznikach do historii, wychowania obywatelskiego i literatury umieszczony jest portret Nicolae Ceausescu, herb, hymn państwowy, a także wiersz ułożony z fragmentów przemówienia rumuńskiego przywódcy. Wiersz ten śpiewany jest na melodiię znanej hory, którą po raz pierwszy wykonano po zjednoczeniu Mołdawii z Wołoszczyzną w XIX wieku.

bić na kombinacjach, na ruchu cen, a nie na produkcji. Reguły gry są niejasne, można je dopasować do różnych układów. Przy braku konkurencji, niewymienialności złotówki, jesteśmy w kleszczach ustawicznego monopolu, który nami rządzi. [...] Mówi się na przykład: zamknąć nierentowne kopalnie węgla. Byłoby to bardzo słuszne, gdyby ten węgiel można było kupić sobie taniej za granicą, ale przecież takiej możliwości nie ma”.

● Z inicjatywy NSZZ „Solidarność” katowickiego „Poltelu” i kopalni „Wujek” powstał społeczny komitet realizacji filmu fabularnego o tragedii w kopalni „Wujek” w 1981 roku. Reżyserem filmu będzie Kazimierz Kutz.

● 30 procent naszego eksportu stanowią artykuły rolne, których wyprodukowanie kosztowało kraj tylko 6 procent energii i 4 procent zaangażowania przemysłu.

● Senator Jerzy Dietl o gospodarce polskiej („Tygodnik Kulturalny” nr 39): „W sierpniu, po raz drugi w swej historii, Polska wpisala się do gospodarczych dziejów świata jako dwudziesty pierwszy kraj, który przekroczył próg hiperinflacji. Hiperinflację definiuje się jako wzrost cen o 50 procent w ciągu miesiąca. Jest to sytuacja więcej niż groźna”.

● W Warszawie zmarła wielka aktorka polska, Aleksandra Śląska.

FRANCUSKI dziennik „Le Soir” napisał, że rząd Tadeusza Mazowieckiego „złożony jest z osobistości, reformatorów i, na pierwszy rzut oka, ludzi kompetentnych”. Zachodniemiecka gazeta „Die Zeit” nazwała naszego premiera „syndykiem masy upadłościowej”, dowodząc trafne rozeznanie w polskich realiach ekonomicznych. Z kolei amerykańska „Herald Tribune” akcentuje kłopoty polityczne nowego gabinetu, stwierdzając: „Lecz członkowie polskiego aparatu komunistycznego nadal sprawują kontrolę w tylu instytucjach, że wystarczy, by spowodować klęskę obecnego rządu”.

Powyższe opinie trafnie i lapidarnie określają problemy, przed którymi stoi ten gabinet. Zewnętrzne, wynikające z całkowitego rozregulowania gospodarki, i wewnętrzne, wynikające z faktu, iż od dyrektorów departamentów do urzędników gminnych funkcjonariusze administracji państwowej to ludzie o starych nawykach działania i stereotypach myślenia. A jakie to myślenie, odgadnąć nie trudno. Przez całe osiem lat od ogłoszenia stanu wojennego każdy kolejny rząd wykazywał ogromne samozadowolenie z podejmowanych działań, które miały uzdrowić gospodarkę, choć ta nadal szła w ruinę. Sprawdziły się wszystkie najczarniejsze prognozy: DIP-u z 1983, że prawdziwy kryzys mamy dopiero przed sobą, i Józefa Kuśmierka, że — jeżeli nie zostaną podjęte przeciwdziałania — czeka nas prawdziwy głód. Jak było w ogóle możliwe, że to, co widzieli i prognozowali dziennikarze, nie było oczywiste dla rządowo-partyjnych ekspertów i polityków?

Problem tkwi w różnych, zasadniczo odmiennych zapatrywaniach na istotę państwa i ekonomii. Dla marksistów państwo jest instytucją ucisku, dominacji jednej grupy nad drugą, a gospodarka polega na politycznym przemieszczaniu zasobów w ramach układów nomenklatury. Przy tym wydawało im się, że wystarczy przeniesienie na rodzimy grunt jedno i jedyne rozwiązanie z gospodarki rynkowej, mianowicie zdjąć kontrolę z cen, a rychło nastąpi oczekiwany wzrost produkcji i sklepy zapelniają się towarami. Ten obłądny pomysł wcieliły w życie wszystkie, kolejne — po roku 1981 — ekipy, doprowadzając życie ekonomiczne do zaniku i coraz większej inflacji.

Tymczasem właściwa lekcja z pomysłu ministra Krasieńskiego na „chrupiące bułeczki” mogła być dla rozsądnych umysłów tylko jedna: w gospodarce zarządzanej politycznie (i właściwie koteryjnie), a nie za pomocą rachunków, w żadnym wypadku nie mogą zadziałać mechanizmy rynkowe właściwe kapitalizmowi. Wzrost ceny nie jest żadną zachętą do znaczącego zwiększenia produkcji. Mimo to ekipa prof. Messnera poszła w swoich „uzdrowicielskich” zapędach dalej niż minister Krasieński, a tzw. „urynkowanie” Mieczysława F. Rakowskiego powaliło gospodarkę, wypierając nawet bilety Narodowego Banku Pol-

ZAMIAST TELEWIZYJNEGO HITU TYGODNIA

NIEWATPLIWYM telewizyjnym szlagierem tygodnia była nominacja nowego prezesa Radiokomitetu. Powołanie na to stanowisko Andrzeja Drawicza prawdopodobnie wniesie poważne zmiany do pracy tej instytucji. Także w sensie personalnym i... moralnym. W dzisiejszym numerze czynimy odstępstwo od stałej formuły tej rubryki. W zamian proponujemy Czytelnikom trochę wspomnień i refleksji o TV, zaczerpniętych z 39 numeru „Tygodnika Kulturalnego”, który poświęcił telewizji aż trzy publikacje.

„Był to również gorący okres — pisze Ewa Banaszkiewicz o latach siedemdziesiątych w TV, w artykule »Za bramą telewizji« — polowań na aluzje. Najbardziej cierpiały na tym dzieci, bo najwięcej aluzji dostarczały przedziennikowe dobranocki. Lisek-chytrusek, krokodyl-gadzina nie miały prawa być pokazywane, jeśli w sławetnym »Wieczorze trzech królów«, czyli DTV, występował ktoś ważny. W innym dniu, kiedy obradowało Biuro, nie można było pokazać erupcji wulkanu, w ostatniej chwili też zdjęjowano film o suszach przed wizytą towarzysza Susłowa”.

A o latach osiemdziesiątych: „To gwałcenie wszelkich reguł fachowości spowodowało, że strasząca z okienka telewizja wyglądała wewnątrz kaba-

retowo. Oto pułkownik — dyrektor generalny do spraw kultury — zatwierdza na antenie niewinny film »Król Maciuś Pierwszy«. Niewinny? — pyta pułkownik, zobaczmy. Ależ panie pułkowniku, używa ostatecznego argumentu redaktor, przecież to jest Korczak. — No, jeżeli to jest prezesa Korczaka... odstepuje od sprawy pułkownik (w tym czasie funkcję wiceprezesa do spraw telewizji pełnił płk Władysław Korczak). Ten sam pułkownik każe odnotować ówczesnej szefowej »Pegaza«, no... tego węgierskiego pisarza, jak mu tam... Jalu Kurka, czy podpisując delegację dla ekipy jadącej na reportaż do jednego z teatrów radomskich wystawiającego »Sztukmistrza z Lublina«, ma wątpliwości: to dlaczego oni jadą do Radomia, a nie do Lublina?»

Andrzej Bober w tekście „Zasada przyzwyczajenia” (odrzuconym przez redakcję „Polityki”) pisze o „frustracjach” i obawach co niektórym dziennikarzy telewizyjnych po zmianie dysponenta Radiokomitetu: „Mówi się jednak, że lepiej późno niż wcale. Mam jednak wątpliwości, czy te wszystkie dzisiejsze rozterki wpływają z uczciwego rachunku sumienia, z uświadomienia sobie spełnianej dotąd, nieraz paskudnej roli, czy też z obawy o najbliższy byt. Zapewne jest tak, i tak... Jednakże obraz przekazany przez

Barbarę Pietkiewicz [»Polityka« nr 36 — przyp. »Relacje«] pozwala przypuszczać, że jednak bardziej chodzi o to drugie, o własną przyszłość”.

W kolejnym tekście personifikuje te obawy cytowana już Ewa Banaszkiewicz („Fala 89”): „[...] niech tylko pojawi się chociażby na chwilę plansza podpisana małymi literami Marek Barański, już lawina telefonów do redakcji łączności z widzami, gdzie od lat bardzo dokładnie notuje się wszystkie uwagi widzów, ale nikt z nich nie wyciąga wniosków. Czarna lista popularności na podstawie tych telefonów układa się następująco. Na pierwszym miejscu Jerzy Urban, niezagrożone miejsce drugie zajmuje Marek Tumonowicz, fakt, że on właśnie prowadził dziennik przedstawiający nowego premiera, wywołał w łączności wściekły atak, potem idą liderzy kryptopropagandy, panowie Rudnik i Popiołek, dalej Adam Bronikowski, entuzjasta już wszystkich, jakie tylko narodzili się w Polsce, koncepcji ekonomicznych, może właśnie dlatego płacze mu się na ustach taki dwuznaczny uśmiech, potem Tadeusz Zakrzewski, twarz dyżurna dospecjalnych poruczeń, i dopiero potem inni prezenterzy dziennika już w mniej ważnej kolejności”.

Z.D., L.W.

DEBY

Mieczysław Wieliczko

KILKA lat temu próżno byłoby szukać tej miejscowości u południowych wybrzeży Bałatonu. Powstała z połączenia osady Bałatonboglár (znanej już w XIII wieku z uprawy jedynej w swoim rodzaju winorośli), podobnie starej Bałatonille oraz sąsiadujących z nimi wsi szlacheckich Szóglóslók i Ordacseki. Znaki herbowe tych miejscowości znalazły się na sztandarze wyhaftowane nicią złotą i barwną jedwabną, na tle ciemnego szafiru — barwy wód Bałatonu. Obrzeża tarcz łączą pośrodku jeszcze jedna — piąta — stylizowany na herb znak firmowy (BB z gronem wina i korona) utworzonego w 1950 r.



Fot. Maciej Szymczak

Ojczyznę może wydzwignąć jedynie społeczeństwo wolnych obywateli

CZY POLSKA BĘDZIE NORMALNYM KRAJEM?

Andrzej W. Pawluczuk

skiego z większych transakcji handlowych.

W żadnym kraju na świecie komuniści nie okazali się zdolni ani do skonstruowania wydajnej gospodarki, ani do jej sprawnego zreformowania i „ustawienia” według przykładu wolnego rynku. Węgry, po krótkotrwałych sukcesach, zastanawiają się właściwie nad tym samym co my: jak przejść z gospodarki socjalistycznej do kapitalistycznej, a totalitaryzm polityczny zastąpić prawdziwą demokracją parlamentarną.

Co tu zresztą mówić, skoro niedawne badania socjologiczne przyniosły świadomość, że ponad połowa urzędników naszej administracji państwowej nie widzi związku między demokracją polityczną a sprawnym funkcjonowaniem gospodarki; także ponad połowa winą za naszą mizериę ekonomiczną obarcza polskie wady narodowe, a nie system! Nic dziwnego, że przy takim widzeniu polskich spraw nie jest możliwe zreperowanie zegarka przez tych, co go popsuli. „Oni” przecież nic nie uciepieli na kryzysie, przeciwnie — aparat biurokratyczny w latach 1982—89 rozrastał się i coraz bardziej obciążał budżet, a panienska po maturze mogła zarobić w Urzędzie Wojewódzkim więcej niż nauczyciel czy lekarz.

Ten rzut oka wstecz pozwala lepiej zrozumieć, dlaczego wola i oczekiwa-

nie na zasadnicze zmiany były tak powszechne i dlaczego Solidarność odniosła w ostatnich wyborach miażdżące zwycięstwo. Z tego też powodu została „wykoszona” w wyborach tzw. lista krajowa. Oskarżanie Solidarności o grę nie fair było w opinii społecznej jeszcze jednym dowodem na to, że komuniści w dalszym ciągu odmawiają zrozumienia sytuacji w kraju. Było to jakby potwierdzenie, że nomenklatura nie jest w stanie postawić gospodarki na nogi, ponieważ jej sposób myślenia wynika z niewłaściwego odczytania rzeczywistości. Tak bowiem, jak nie można np. mierzyć benzyny metrami kwadratowymi, tak nie sposób uleczyć dogorywającej gospodarki tylko za pomocą wzrostu cen i drukowania pieniędzy. Toteż PZPR, jeżeli chce kiedykolwiek jeszcze powrócić do politycznego steru, musi się gruntownie zmienić. Dopiero ostatnie tygodnie pokazały, że część kierownictwa partyjnego uzmysłowiła to sobie, ale to inny temat, którego nie będę tutaj rozwijał.

Tak był stan Polski, gdy Tadeusz Mazowiecki sformował gabinet i wygłosił w Sejmie exposé. Czy odpowiada ono na powszechne oczekiwania zasadniczych zmian i czy na jego podstawie można cokolwiek wyrokować o najbliższej przyszłości?

Zaczną od sprawy podstawowej, mianowicie całkowicie odmiennej filozofii prawa i państwa. „Budowanie państwa na fundamencie prawa” — to najważniejszy wniosek ze słów premiera. Ale jakiego prawa? Na pewno nie w rozumieniu marksistowsko-leninowskim, wedle którego system prawny i praktyka organów sprawiedliwości podporządkowana była doraźnym potrzebom władzy. Zakłada to zmianę ustroju sądów i prokuratury, a także zmianę w działaniu aparatu policyjnego, który ze strażnika władzy przekształci się w obrońcę praw obywateli. Jak to ujął premier: „Prawo nie może być instrumentem panowania aparatu państwowego, ani żadnej grupy politycznej nad obywatelami”. Jest to zmiana w naszych warunkach rewolucyjna, zważywszy, jak wielki jest stopień upartyjnienia milicji i prokuratury i że przez 45 lat funkcjonariuszom tych instytucji wpajano, że ich najważniejszym powołaniem jest ochrona „władzy ludowej” i obowiązującego systemu.

Rządy prawa oznaczają także zmianę systemu fiskalnego i wyrugowanie z niego przepisów przewidujących możliwość wymierzania podatków „na oko”. To — także — absolutna równość wszystkich podmiotów gospodarczych, to demonopolizacja, to wreszcie likwidacja wszystkich uregulowań prawnych kępujących wolność gospodarowania i wolność polityczną. A jeżeli tak, to polityczne reglamentowanie wolności słowa bliskie jest końca. Cenzura zapewne zostanie przez jakiś jeszcze czas utrzymana, ale na pewno w postaci szczątkowej i jej prawa do ingerencji zostaną mocno ograniczone, zapewne do spraw związanych z wojskowością. Każdą decyzję administracyjną, a więc również organów paszportowych, będzie można zaskarżyć do sądu, a sąd będzie badał nie tylko (jak obecnie), czy jest zgodna z prawem, ale czy jest poprawna merytorycznie. Polska przeistoczy się zatem w państwo demokratyczne i praworządne, będzie państwem wszystkich obywateli, bez względu na ich przekonania polityczne i religijne. Zaistnieją zatem wszelkie warunki, aby państwo było postrzegane jako „państwo własne”, co wpłynie niewątpliwie dodatnio na społeczną inicjatywę i wyzwolenie energii ludzkiej.

Jeżeli te zamierzenia zostaną zrealizowane, będzie można mówić o tym, co w żargonie politycznym Solidarności nazywa się „uspołecznieniem państwa”. Punktem wyjścia do tego uspołecznienia jest etyka Solidarności, w której każdy człowiek ma prawo do wolności i równości, a państwo jest dobrowolnym zrzeszeniem wolnych obywateli, którzy mają prawo kontrolować władzę, czy dobrze zarządza naszym wspólnym dobrem. Odżegnanie się nowego rządu od jakichkolwiek prób „odegrania się” na poprzednim establishmentie za niedawne jeszcze prześladowania opozycji i wszystkich ludzi inaczej myślących, jest potwierdzeniem, że Solidarność dotrzyma słowa. Uczciwość, skrupulatna niekiedy do przesady — bo rodząca swoistą nieporadność i powolność — będzie przestrzegana z całą pewnością, bo jednym z wielkich atrybutów tego ruchu jest

sprzeciw i kategoryczne odrzucenie kłamstwa jako narzędzia komunikacji i sposobu na rządzenie.

Jeżeli chodzi natomiast o sprawy gospodarcze, premier był mniej konkretny. Ale zaciążyła tu ogólna strategia Solidarności, która była nastawiona zawsze na kontrolowanie, a nie rządzenie i, w zasadzie, poza ogólnymi hasłami jak reprivatyzacja czy wolny rynek, nie dopracowała się ona programu ekonomicznego. Novum stanowi niewątpliwie polityka budżetowa, która — podobnie jak w krajach o gospodarce normalnej — dostosowuje wydatki do dochodów, a nie — jak u nas — odwrotnie, kiedy to szukano dochodów, aby pokryć galopujące wydatki. Zapowiada się w ten sposób oszczędności i sądzić należy, że najważniejsze w tej mierze cięcia obejmą administrację państwową.

A pieniądze marnuje się tutaj wiele, poczynając od nadmiaru służbowych i zakładowych samochodów, do nadmiernej liczby etatów i wyrubowanych uposażeń. Wprawdzie premier zastrzegł się, że nie będzie masowych rugów w administracji, ale — powiedzmy — przegląd kadr jest jak najbardziej konieczny. Wszak gołym okiem widać, że wraz z postępującym od dwudziestu lat wzrostem zatrudnienia i rozrostem różnego rodzaju urzędów nie szło podwyższanie sprawności urzędowania. A zresztą liczba urzędników będzie musiała zmaleć wraz z odejściem od zbędnej, blokującej inicjatywę papierkomanii i sprawozdawczości. Sądzę, że w przeciwieństwie do różnego rodzaju weryfikacji fundowanych przez poprzednie ekipy, gabinet Tadeusza Mazowieckiego wykaże w tej mierze kulturę i takt.

Dwie rzeczy były zawsze kulą u nogi naszej socjalistycznej gospodarki: mieszkania i rolnictwo. Tutaj, zapowiada premier, działania muszą być szybkie i zdecydowane. Czy jest realna nadzieja, że stanie się tak naprawdę?

Taką gwarancją jest teka ministra budownictwa dla Aleksandra Paszyńskiego, który od paru lat propaguje swój projekt na uzdrowienie budownictwa i każda poprzednia ekipa projekt ten zawsze odrzucała. Polega on, przypomnijmy, na tym, żeby kredytować nie spółdzielczość mieszkaniową, ale konkretnego amatora na mieszkanie, który sam decydowałby, gdzie i jakie mieszkanie chce wybudować. Należy sądzić, że w praktyce zaowocuje to zmniejszeniem marnotrawstwa na budowach, solidniejszą robotą i znacznym zwiększeniem budownictwa małego, jednorodzinnego, które jest znacznie tańsze od bloków z wielkiej płyty. Zaś upór premiera co do powołania ministra rolnictwa świadczy o tym, że także w tej dziedzinie Tadeusz Mazowiecki posiada skonkretyzowany plan działania.

Czego potrzebuje nowy rząd, aby zrealizować te ambitne zamierzenia? Potrzebuje naszej cierpliwości i naszego kredytu zaufania. Jeżeli bowiem upadnie, to w dającej się przewidzieć przyszłości nikt rozsądny z opozycji nie odważy się przyjąć stanowiska premiera i ministra. A wówczas powrócilibyśmy do dobrze nam znanych sposobów rządzenia.

W BOGLÁRLELLE

kombinatu winiarskiego i przetwórstwa owocowego.

Opisałem ten sztandar, ponieważ nie dysponuję jego fotografią; 16 września 1989 r. ambasador nadzwyczajny i pełnomocny PRL w Budapeszcie, Tadeusz Czechowicz, udekorował jego płat Komandorią „Orderu Zasługi PRL”, zaś akt nadania stwierdzał między innymi: „w uznaniu wybitnych zasług dla polskiego uchodźstwa w okresie II wojny światowej...”

Boglárlelle jest jedynym środowiskiem na terenie Węgier, odznaczonym polskim orderem, zaś sztandar stanowił jeden z elementów dekoracji hali sportowej „Platán”, w której zgromadziło się około 1,5 tysiąca osób, a ponad ich głowami, po przeciwnej stronie prezydium, młodzi ludzie podnieśli i cały czas trzymali transparent z białego płótna z czerwonym napisem w języku polskim i węgierskim: „Znowu płyniemy w jednej łodzi”. Tak oto

splotły się i splatają informacje i okoliczności pierwszego i drugiego obiegu, które już nikogo nie dziwią, ale warte są zauważenia jako „pomiar temperatury” atmosfery politycznej.

Uroczystości w Boglárlelle, o czym za chwilę, stanowiły szczególnie emocjonalną część obchodów 50-lecia wojennej migracji Polaków na Węgry, obchodów organizowanych ze strony polskiej przez Ośrodek Informacji i Kultury Polskiej w Budapeszcie (którym kieruje znany dziennikarz i tłumacz Tadeusz Olszański), Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. Józefa Bema, Polko-Węgierską Komisję Historyczną Akademii Nauk obu krajów oraz ze strony węgierskiej — władze centralne i terenowe, Bibliotekę Narodową im. Szechenyiego na Zamku w Budzie i Dom Kultury im. B. Vikára w Boglárlelle.

W sumie był to cykl imprez, spotkań i innych uroczystości, rozpoczętych w

niedzielę 10 września 1989 r. nabożeństwem żalobnym w kościele polskim Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Budapeszcie (Köbánya, Ohegy u.), a kończącym się odsłonięciem tablicy pamiątkowej (ufundowanej przez PSK im. J. Bema) na murach domu dawnej komendantury obozu oficerskiego w Vámosmikola — 17 września, czyli dokładnie w 50 lat po „dniu pierwszym” otwarcia granicy węgierskiej.

W to wszystko, jakby niezależnie, ale równocześnie wyjątkowo spójnie, włączony został program III zjazdu wychowanków polskiej szkoły w Balatnaboglár, trwający w dniach 13—15 września właśnie w Boglárlelle, i o tym zamierzam bliżej napisać. Wpierw jednak kilka zdań o historii stosunków polsko-węgierskich.

SKŁADA się na nią tysiąclecie bardzo żywych kontaktów, pośrednich w 50 lat 1848—49 zajmują wyjątkowe miejsce, bowiem 15 marca 1848 r., kiedy naród węgierski odpowiedział czynem na poetyckie wezwanie Sándora Petőfiiego: „Powstań! Węgrze! Ojczyzna Cię wola!”; rozpo-

częła się wojna narodowowyzwoleńcza (będąca znaczącym fragmentem Wiosny Ludów w Europie), na którą licznie stawili się Polacy, przynosząc ze zniczów kraju sztandar dla swojego „Legionu Polskiego” z napisem: „Za wolność naszą i waszą”. A kiedy przemoc wojsk „świętego przemierza” z interwencyjną 100-tysięczną armią rosyjską zdławiła porwy wolności nad Dunajem, nastąpił czas refleksji i obrachunku po jeszcze jednej narodowej tragedii...

Wtedy to, objaśniając wzajemne związki polsko-węgierskie okupione krwią, Stanisław Worcell pisał na łamach „Demokraty Polskiej” w 1849 r. następująco: „Węgry i Polska to dwa wiekiuste drzewa, każdy z nich wystrzelił pnem osobnym i odrębnym, ale ich korzenie, szeroko rozłożone pod powierzchnią ziemi, splatały się, i zstały niewidocznie. Stąd był i czerstwość jednego jest drugiemu warunkiem życia i zdrowia”.

Dokończenie na str. 14

DOŚTAŁEM nowe mieszkanie. Radosna nowina, powiecie Państwo, zwłaszcza że takich jak ja szczeniowców było tylko (najmniej od 1961 roku) w pierwszym półroczu 46 tysięcy. Trzy miliony rodzin, powiecie Państwo, których szczęście to nie spotkało, a na mieszkanie pilnie oczekują, bardzo mi zazdrości. Hm. Właściwie macie Państwo rację, chociaż pozostałe 45 999 rodzin (plus ja) nie w pełni podzielamy tę opinię.

Mury, murami, trzeba je jakoś urządzić. Na przykład położyć parkiet. Sprawa wydawałaby się prosta. Wystarczy sięgnąć po gazetę i odpowiedzieć na stosowne ogłoszenie. Tak też zrobiłem. Elastycznym krokiem udałem się do zakładu usług parkieciarskich, gdzie zawarłem umowę na ułożenie zakupionego wcześniej parkietu, jego wycyklinowanie i polakierowanie. Ustalony został termin rozpoczęcia usługi (niezwłocznie), jej zakończenia — za półtora tygodnia, oraz jej cena, stanowiąca półroczną wartość moich zarobków; wpłaciłem także (otrzymując stosowne pokwitowanie z pieczęcią i podpisem) wymaganą zaliczkę — na materiał — w wysokości 120 tys. zł. Byłem szczęśliwy. Omal nie upiłem się z radości.

Szczęście moje z wolna zaczęło topnieć. Następnego dnia zadzwonił telefon, którym rzemieślnik (tak wówczas myślałem) nieco zmęczonym głosem powiadomił mnie, że rozpoczęcie usługi nieco się opóźni, ale już w poniedziałek... W poniedziałek cała historia się powtórzyła (jedynie pan majster wydawał się nieco bardziej zmęczony), ale umówiliśmy się na środę. Dodatkowo mistrz powiadomił mnie, że jego samochód jest niestety zepsuty, a więc muszę stawić się po lepar (czyli smole) własnym samochodem. Cóż było robić, wymontowałem nieruszane od lat przednie siedzenie w maluchu i na resztkach benzyny doczołgałem się do zakładu. Pan majster był strasznie zmęczony. Na szczęście okazało się, że nie jest on rzemieślnikiem, a tylko przedsiębiorcą, nowoczesnym entrepreneurem, jedynie zatrudniającym, organizującym, koordynującym i nadzorującym. Wyznaczony do pracy rzemieślnik był trzeźwy. Przywiózł ze mną lepar, oświadczył, że na chwilęczkę musi wyskoczyć i przyszedł następnego dnia o dziesiątej.

Nie był ci to dobry specjalista. Parkiet z uporem nie chciał mu „trzymać kąta”. Mówiąc inaczej, rzemieślnik zaczął z jednego narożnika pokoju i układał klepkę po klepcie po przekątnej, nijak nie mógł trafić do narożnika przeciwległego. Wreszcie około 12-tej zaniechał dalszych prób. Stwierdził, że lepar musi zaschnąć i że on przyjdzie jutro.

Następnego dnia historia się powtórzyła. Z jednym rzadkiem udało mu się nawet wcale dobrze. Niestety, następne, rozjeżdżały się we wszystkie strony. Oświadczył, że zagadnienie musi przekonsultować i że przyjdzie jutro.

Nadeszło jutro, ale majster nie nadchodził. Zrozpaczony, zadzwoniłem do entrepreneuru, ale tenże zmęczony był nadal i rozmowa nam się

nie kleiła. Zrozpaczony jeszcze bardziej, udałem się na stare śmieci. Po drodze napotkałem fachowca (ciężko dyszącego) razem z całkiem wypoczętym konsyliantem. Konsyliant kopnął z niesmakiem w dwie klepki, w trzecią lekko szturchnął młotkiem (partrzyłem na niego oniemiały) i parkiet nieco się wyprostował. Dalej były w nim szpary, ale zmniejszyły się podobnie jak dwuzłotówka po uyrnkowaniu. Uradowany fachowiec stwierdził, że w poniedziałek przyjdą z kolegą i raz dwa nadgonią stracony czas.

Znowu byłem szczęśliwy. A przecież powinno mnie ostudzić to, że ten, który widział, w co kopnąć i co szturchnąć, nie mówił nic. Uśmiechnął się tylko, znajdując w leparze młotek. Jak z pewnym trudem wyjaśnił fachowiec, lepar w firmie stał przykryty „Kurierem” i kiedyś to nadzwyczaj utrudzony entrepreneur położył na „Kurierku” młotek. Z zainteresowaniem zbadałem treść smoły, ale nic więcej wartościowego nie znalazłem. Wnoszę z tego, że nawet jeżeli entrepreneurowi wpadło tam drugie śniadanie, to wyjął i zjadł.

Wyczekiwałem poniedziałku jak kania dżdzu i zwiędłem jak polny mak włożony do wazonu. W poniedziałek bowiem nie pojawił się nikt. Entrepreneur na telefony nie odpowiadał.

Uznałem, że muszę podjąć stosowne kroki. W tym celu udałem się do zaprzyjaźnionej Pani Mecenas, ażeby wyłudzić nieodpłatną poradę prawną. Pani Mecenas niezwykle się ucieszyła, albowiem sama miała podobną przygodę, z tą tylko różnicą, że już musiała mieszkać w domu, w którym kładziono parkiet, a na dodatek była w dziewiątym miesiącu ciąży.

Musiała mnie jednak zmartwić, twierdząc w oparciu o bogate doświadczenie, że praktycznie niewiele mogę entrepreneurowi zrobić. Milicja zgłoszenia o przestępstwie nie przyjmie, ponieważ nie zostały naruszone przepisy prawa karnego, a jedynie umowa cywilna. Tym zaś organa ścigania się nie zajmują. Właściwy do rozpatrzenia sprawy jest sąd, ale to narazi mnie na koszty, stratę czasu i wcale nie jest pewne, czy sprawę wygram. Pisemnej umowy z zastrzeżeniami karami za niedotrzymanie terminu nie ma. Entrepreneur będzie zasłaniał się trudnościami obiektywnymi i oświadczał, iż miał najlepszą wolę wykonania usługi i niechybnie by ją w terminie wykonał, tylko ja, niepotrzebnie się denerwując, mu to uniemożliwiłem. Najprawdopodobniej dla świętego spokoju sąd uzna, iż pozostawiony lepar i położonych (krzywo, bo krzywo, ale jednak) parę metrów parkietu stanowi równowartość zaliczki i na tym sprawa się zakończy.

— Jak to — wybuchnąłem — to nikt nie stoi na straży interesów obywatela narażonego na rozbój w biały dzień, na stratę pieniędzy, czasu, zdrowia i nerwów. To milicja mogła przez tyle lat ścigać ludzi za czytanie niewłaściwych książek, a sądy wsadzać do więzienia za udział w nielegalnym zgromadzeniu...

— Widzisz — odpowiedziała Pani Mecenas — w teorii to ty jesteś liberał, ale jak cię polaskotać, to wychodzi z ciebie totalitarysta. Dać ci władzę, to byś zaraz koncentracyjne obozy pozakładał. Sam tego przecież chciałeś. To przecież ty nawoływałeś do wolnego rynku, swobodnego dostępu do niego wszystkich producentów, a więc musiałeś się liczyć, że w takim przypadku pojawiają się na nim także partacze, oszuści i pijacy. No i masz wolny rynek. Wybrałeś przecież sam przedsiębiorcę, zawarłeś z nim dobrowolną umowę, której do końca nie sformalizowałeś, nieopatrznie (największy błąd) dałeś zaliczkę i o co ci jeszcze chodzi...

— To co mam zrobić? — zrozpaczony jęknąłem. — Obić po pysku?

— Nie radzę — ciągnęła z wyraźną satysfakcją Pani Mecenas. — Są dwie możliwości: albo okaże się silniejszy

to powództwo o zniesławienie, ale masz świadków, więc się wybroniś — że oświadczasz, iż ob. taki a taki jest usługodawcą niesolidnym. Założ federację konsumentów...

— Już istnieje — przerwałem — ale zajmuje się lataniem nago i opisywaniem przygód miłosnych Filipa...

— To załóż drugą. Mamy przecież pluralizm organizacyjny. I wiesz co. Najlepiej sam naucz się kłaść parkiet. To świetny zawód. Doskonale płatny. A po tym, jak Krzysio zrzucił ich ze schodów, ciągle mamy w tym pokoju straszne dziury. Aż strach chodzić.

Nastał wtorek. Mimo moich strachów (strachy na Lachy, a nie na entrepreneuru) do dziesiątej w moim nowym mieszkaniu nikt się nie stawił. Nie przyniosła znaczących rezultatów także kolejna telefoniczna rozmowa

Prywatna wojna

PARKIET

Michał Zieliński

i odda, albo pójdzie na milicję i zgłosi pobicie. A to już jest sprawa karna. I pójdiesz siedzieć. Chociaż — i tu rozmarzyła się nieco — Krzysio (mąż pani Mecenas i też wybitny prawnik) spuścił łobuzów ze schodów. Jedno, co możesz zrobić, to zerwij umowę. Oficjalnie i na piśmie. I poszukaj porządnego przedwojennego rzemieślnika. Na pieniądze pluń — rzecz to nabyta i szkoda zdrowia. Zresztą jak twój kontrahent wypocznie, to może trochę ci odda. Możesz, ale to już mówię nieoficjalnie — zastrzegła się szybko — zatrzymać mu maszynę. Jest to właściwie przywłaszczenie, ale mając nieczyste sumienie, raczej na milicję nie pójdzie, a ponieważ maszyna jest mu potrzebna, pewno trochę gotówki odda.

— No, ale co zrobić, aby kto inny się nie naciął? — chytrze sięgnąłem po argument interesu społecznego.

— Działaj, działaj — zachęcała Pani Mecenas. — Napisz do gazety, mamy przecież wolną prasę, każdy może się wypowiedzieć. Możesz nawet dać ogłoszenie — oczywiście grozi ci za

wa z entrepreneurem. Nie wiem zresztą, czy cokolwiek z tego, co mówiłem, interesowało go. Z zajmowanej przezeń dykcji dobiegał bowiem wesoly gwar wiedeńskiego śniadania (ktos gwizdał Straussa), a entrepreneur był w świetnym nastroju. No cóż — jak mawiał oberfeldkurat Katz — można się bawić, gdy dobrzy ludzie dają pieniądze.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na moje nowe, śliczne mieszkanie. Na rozlaną wszędzie smolę, rozrzucone klepki, krzywo położone cztery metry parkietu. Chwilę — jak ten Cygan — zastanawiałem się: posprzątać czy podpalić, poczem poczłapałem do domu. Napisałem wypowiedzenie umowy i — przez grzeczność — wzięłem za słuchawkę, żeby entrepreneuru o tym powiadomić. Niestety, między 10 a 14 telefon milczał głucho.

Wysłałem wypowiedzenie listem poleconym, myśląc sobie smętnie, że jest jak w starym dowcipie. Na początku ja miałem pieniądze, a on doświadczenie. Teraz zaś to on ma pieniądze, a ja mam doświadczenie.

PRZESTAŃMY BYĆ PETENTAMI

Izabella Wlazłowska

TO zebranie zrodziło się z protestu.

Najpierw zareagowało kilka osób. Patrzyli, jak koparki taranują wielkie drzewa rosnące koło wiewiórców przy ulicy Wiklinowej. Wyrwane z korzeniami, z połamanymi gałęziami, leżały na ziemi, dopełniając obrazu zniszczenia. Opodal stały dzieci, niemo uczestnicząc w tej „lekcji pogładowej”. Na pytanie „dlaczego?” — niszczący drzewa odpowiedzieli, że im kazano. Z administracji osiedla „Łęgi”, do której się udało kilku mieszkańców, odesłano ich do zarządu spółdzielni „Czuby”. A tam dowiedzieli się, że w miejscu wyrwanych drzew „wyrośnie” budynek administracji.

„Biura czy sklepy?” — to pytanie wypisano na ogłoszeniach zapraszających mieszkańców osiedla „Łęgi” na zebranie.

Jest ich kilkanaście osób. Stanowią pierwszą w Lublinie grupę inicjatyw-

na Osiedlową Komisję Obywatelskiego, w skrócie OKO.

Na zebranie nie przyszedł przewodniczący Komisji Osiedlowego Samorządu Mieszkańców, który, jak się później okazało, rozmawiając z dwoma przedstawicielami OKO, nie poczuł się dostatecznie zaproszony na to zebranie. Przyszło natomiast dwóch wiceprezesów spółdzielni „Czuby”. Przyszła i ja, bo dziennikarzowi niepotrzebne jest zaproszenie na ozdobnym blankiecie. W dziesięć dni później uczestniczyłam w kolejnym zebraniu.

Mieszane nam uczucia odnośnie obydwu zebrani, ich formy, przebiegu oraz kontrowersji, do których dochodziło pomiędzy ciałami społecznymi działającymi na osiedlu. Ale to pozostawmy czasowi na tzw. „dotarcie”. Jedno jest pewne, że ludziom, którzy przyszli na obydwa zebrania, leży na sercu dobro osiedla i jego przyszłość. A jak się to ma do rzeczywistości, w której

żyjemy, niech zaświadczą fragmenty dyskusji z obydwu zebrani.

Głos z sali: — Kto zdecydował, że w pierwszej kolejności buduje się budynek administracyjno-warsztatowy zamiast pawilonów handlowych? Na całym osiedlu są tylko dwa sklepy. Robienie zakupów to koszmar.

Głos z sali: — Kto zaprojektował administrację z warsztatami w samym środku osiedla, pod oknami wiewiórców zamiast na obrzeżu? Mieszkańcy parteru i pierwszego piętra będą mieli widok z okna wyłącznie na ściany tego budynku.

Głos z sali: — Dlaczego spółdzielnia nie buduje pawilonów handlowych?

Wiceprezes zarządu: — Budynek administracyjno-warsztatowy został właśnie w ten sposób wkomponowany w siedle przez projektantów-fachowców, a zaakceptowany przez Urząd Miasta. Budowa jego jest kredytowana przez

bank, a termin rozliczenia tego zadania bank wyznaczył do końca roku.

Głos z sali: — To niech bank kredytuje pawilony handlowe zamiast biura.

Wiceprezes zarządu: — Bank może kredytować tylko to zadanie i jeżeli tego nie wykorzystamy, to stracimy środki finansowe.

Głos z sali: — Bank kredytuje bzdury. Czy bank wie lepiej, co nam jest na osiedlu bardziej potrzebne? Komu on służy?

Wiceprezes zarządu: — Dopiero na początku bieżącego roku zmieniły się przepisy dotyczące kredytowania budownictwa towarzyszącego, w tym budownictwa sklepów. Chcielibyśmy w przyszłym roku rozpocząć realizację trzech pawilonów handlowych. Sprawę przekazaliśmy do komisji planowania. To nie ode mnie zależy, czy te pawilony będą wprowadzone do planu. Bo przy tych formach kredytowania, zatwierdzania itd. nie mogę państwu nic obiecać.

Głos z sali: — Chcemy decydować jako użytkownicy. Architekci czy bank na siłę chcą nas uszczęśliwić!

Głos z sali: — Dlaczego spółdzielnia oddała murowany barak spółce „Koopol”, zamiast tam przenieść admini-

CIĄG DALSZY

WYPOWIEDZENIE UMOWY

W dniu 31 sierpnia — poniedziałek zawarłem z Panem umowę na usługi parkietarskie w mieszkaniu przy ul. Zana [...], polegające na: ułożeniu parkietu (moja własność), jego wycyklinowaniu i polakierowaniu na powierzchnię ca 55 m kw. Cena ww. usługi ustalona została w umowie ustnej na 11 tys. zł za m kw., a termin wykonania usługi (orientacyjny) na 3 września (sobota). Na wykonanie powyższych usług wpłacona została zaliczka, na którą wydał Pan pokwitowanie następującej treści: „Kwituję pobranie od Ob. Zielińskiego zaliczki w wysokości 120 tys. zł (słownie: sto dwadzieścia tysięcy złotych). Podpis i pieczęć zakładu”.

Stwierdzam, że w okresie do 29 sierpnia (wtorek) zakład Pański nie podjął wystarczających starań, zmierzających do właściwego wykonania umowy. Po dziewięciu dniach kalendarzowych (pięciu dniach roboczych) stan faktyczny stwierdzony przez rzeczoznawcę jest następujący: w jednym pokoju ułożone jest krzywo (zdaniem rzeczoznawcy w sposób bezwzględnie kwalifikujący się do rozbioru) około 5 m kw. parkietu. Zdaniem rzeczoznawcy, wartość dotychczas wykonanej usługi właściwie ujemna, gdyż dochodzą koszty rozbioru i czyszczenia zabrudzonych klepek. Przyczyną takiego stanu wykonywanej usługi jest nieobecność osoby desygnowanej przez Pana do wykonania usługi [...] i równocześnie niewątpliwie słabe jej kwalifikacje. Moje monity do Pana w sprawie zleżego wykonania usługi w dn. 26 i 28 (dwukrotnie) i 29 sierpnia były bezskuteczne ze względu na nieobecność Pana w zakładzie [...].

W tej sytuacji zmuszony jestem wypowiedzieć zawartą z Panem umowę, domagając się jednocześnie zwrotu wypłaconej przeze mnie zaliczki. Równocześnie w oczekiwaniu na zwrot kwoty 120 tys. zł zatrzymuję należące do Pana:

a) maszynę do krojenia klepek (tzw. krojwegę) o trudnej do ustalenia, ale zdaniem rzeczoznawcy — niewielkiej wartości;

b) beczkę 50-litrową, napełnioną w dwóch trzecich leporem (ca 30-35 litrów, tj. ok. 45-50 kg, z piwyjącym w nim Pańskim młotkiem) o wartości według cen detalicznych (250 zł za kg) około 10-15 tys. złotych;

c) różne drobne przedmioty należące do Pańskiego pracownika (bardzo brudne ubranie robocze, siatka plastikowa — tzw. reklamówka — podarta, młotek) o znikomej wartości.

Przedmioty te wydam Panu po zwrocie zaliczki, co — oczekuję — nastąpi (uwzględniłam tutaj okres potrzebny na dotarcie do pana listu poleconego) w terminie do wtorku 5 września do godziny 8 rano. W rozlicznym wypadku, dysponując niezbitymi dowodami Pańskiej niechęci do poprawnego wykonania usługi (w całym okresie podanym wyżej nie był Pan ani razu uprzejmy pofatygować się na miejsce, w którym miała być wykonywana), opinia rzeczoznawcy oraz pokwitowaniem pobranej zaliczki, skieruję sprawę na drogę sądową, domagając się oprócz zwrotu kwoty 120 tys. zł, zwrotu strat materialnych związanych z opłaceniem czynszu za mieszkanie, do którego nie mogę się wprowadzić, zwrotu dodatkowych kosztów poprawienia po źle wykonanej usłudze oraz innych należności. Jednocześnie zmuszony jestem Pana powiadomić, że o postępowaniu Pańskim zmuszony będę powiadomić Wydział Handlu, Drobnej Wytworczosci i Usług MRN, powiadomić o stosowanych przez Pana praktykach lubelską prasę oraz ewentualnie podjąć inne działania w tej sprawie.

Michał Zieliński

PS. Przedstawione wyżej wypowiedzenie umowy wysyłam Panu listem poleconym w dniu 29 sierpnia o godzinie 11. Równocześnie będę starał się w godzinach urzędowania powiadomić Pana o treści niniejszego wypowiedzenia telefonicznie.

strację osiedla? Dlaczego „Koopol” na nas zeruje?

Były przewodniczący KOSM: — Proponowałem, aby budynek ten przeznaczyć dla administracji i warsztatów. Usłyszałem odpowiedź, że nie można tego zrobić, bo nie ma tam odpowiednich warunków dla pracowników. Później proponowałem, aby zorganizować tam „zerówkę”, przez co powiększy się liczba miejsc w przedszkolu. Odpowiedź otrzymałem podobną. Dziwne tylko, że pracownicy spółki znaleźli tam odpowiednie warunki pracy.

Wiceprezes zarządu: — To nie jest budynek spółdzielni. „Koopol” wydzierżawia go od LPB.

Głos z sali: — To dlaczego spółdzielnia nie mogła go wydzierżawić?

Brak odpowiedzi.

Zygmunt Łupina, poseł na Sejm, zaproszony na pierwsze zebranie: — Państwa głosy są głosami petentów, a przecież jesteście właścicielami, a prezesi, administracja są po to, aby ułatwiać wam życie. Bicie się o to, o tamto, a przecież powinniście rzadzić i rozliczać, inspirować życie polityczne, kulturalne i wla... owe na osiedlu. Niech nowo powstały K... itet Obywatelski będzie zaczynem aktywizacji tego osiedla po to, aby banki i

Tekst ten napisałem w nietajonej złożości 30 sierpnia. Ponieważ jednak złość nie jest dobrym doradcą, spróbowałem rozwiązań polubownych. Zwróciłem się z prośbą o pomoc do cechu. Pracownicy Cechu Rzemiosł Budowlanych i Drzewnych bardzo się sprawą przejęli i zaangażowali w jej załatwienie. Wydawało się, że z dobrym skutkiem. Entrepreneur zadzwonił i wyraził szczerą wolę zwrotu zaliczki. W zamian zobowiązałem się zachować aspołecznie, wycofując skargę z cechu i artykuł z „Relacji”.

Niestety, gdy nadszedł umówiony termin, entrepreneur zadzwonił, opowiedział mi o zbiegu nieszczęśliwych wypadków, jaki go trapił, i poprosił o jeszcze troszeczkę cierpliwości. Byłem cierpliwy. Niestety, nieszczęśliwe wypadki przydarzały mu się nadal. Plakałem w chusteczkę, bardzo mu współczując, i czekałem dalej. Kolejne terminy miały.

Wreszcie 11 września entrepreneur przedstawił mi propozycję nie do odrzucenia. Ja oddam mu maszynę, on ułoży komuś parkiet i wtedy odda mi pieniądze. Byłbym się zgodził — w końcu niech ktoś inny też się pomoże. Niestety, mój kontrahent przeholował. Poprosił mnie również, żebym łaskawie odwiózł mu maszynę samochodem, bo jest bardzo ciężka, a on bardzo słaby.

W zaistniałej sytuacji 14 września zdecydowałem się: opublikować raport z swych przysądów w „Relacjach”, poczekać po jego opublikowaniu jeszcze trzy dni i w wypadku niezwrócenia zaliczki wnieść sprawę do sądu. Aby nie być posądzonym o zabór cudzego mienia, krojwegę zdeponowałem w redakcji (gdzie za niewielką opłatą mogli oglądać ją wycieczki szkolne). Ponieważ moje rozżalenie wskazywało, że tego typu sprawy nie są wcale rzadkie, a jedynie część ich kończy się tam, gdzie powinna (komu się chce włożyć po sądach), jeżeliby do sprawy doszło, o jej zakończeniu PT. Czytelników postanowiłem poinformować.

Z OSTATNIEJ CHWILI

W ludzi należy wierzyć. Do sprawy nie doszło, albowiem entrepreneur przybył do mego domu i oddał mi był 100 tys. zł z pobranej zaliczki. Według pobieżnych obliczeń — zarobiłem na dzień dzisiejszy około 20 tys. zł, gdyż krojwegę wywaradzie entrepreneurowi zwróciłem, ale zostałem mi jeszcze lepar, wart na wolnym rynku około 40 tys. zł. Ostatecznie więc wygląda na to, że posiadam i gotówkę, i doświadczenie.

Moje doświadczenie nie na wiele mi się jednak przydało w stosunkach (ekonomicznych) z kolejnym entrepreneurem — stolarzem, który nie wywiązał się z kilku terminów wykonania szafy do korytarza, a gdy nadszedł termin najostateczniejszy, ten arystokratyczny rzemieślnik przyszedł i spokojnie oświadczył, że właśnie wyjeżdża na saksy, za robotę może wziąć się dopiero po powrocie, ale brać będzie wyłącznie w dolarach. Na szczęście — zaliczki nie wpłaciłem.

prezesa przestali wam dyktować warunki. To system doprowadził do tego, że nie wiemy w ogóle, co to jest prawdziwa spółdzielczość.

Głos z sali: — Protestujemy przeciwko budowie administracji i warsztatów w środku osiedla. Chcemy sklepów.

Głos z sali: — Wstrzymać budowę, aby ją przeprojektować.

Wniosek przegłosowano. Większość zebranych nie wyraziła zgody na budowę administracji i warsztatów pod oknami wieżowców.

Głos z sali: — Poprosić na kolejne zebranie architekta projektującego pawilon handlowy. Chcemy zawczasu wiedzieć, czym nas „uszczęśliwiał”.

Zebranie dobiegało końca. Wtedy jedna z pań zapytała wiceprezesa zarządu:

— Czy takie zebranie mieszkańców osiedla i przegłosowanie wniosku może wstrzymać realizację rozpoczętej inwestycji?

— Nie.

Z boku usłyszałam: — Psy szczekają, a karawana idzie dalej. Ale kiedyś ktoś przypomni sobie, że zwracaliśmy uwagę na te wszystkie bzdury. Ktoś wreszcie rozliczy...

Mała to pociecha.

ZANOTOWANE
W MAŁASZEWICZACH

Wiesław Horabik

KIEDY na kilka dni przed nami odwiedziła Małaszewicze telewizja RFN, penetrująca skutki osławionego paktu Ribbentrop-Mołotow, doznała szoku. Kazimierz Woźniak, zastępca dyrektora miejscowego węzła PKP, był chyba jedynym rozmówcą, który określił ten pakt jako korzystny. „Bez niego Małaszewicze byłyby dziś tylko małą, zagubioną stacją przy drodze na dalekie kresy”. Uplęnięto trochę czasu, nim Niemcy „załapali” dowcip.

Mój zamysł zbadania handlu między Polską a ZSRR przez odwiedzenie „suchego portu przeładunkowego” był z założenia naiwny. Naiwny dlatego, że Małaszewicze to tylko jedno z licznych przejść granicznych (wymiana towarów odbywa się lądem, morzem i powietrzem); naiwny dlatego, że — aby globalnie ocenić nasze obroty ze wschodnim sąsiadem — trzeba by mieć dostęp do tysięcy umów handlowych i kooperacyjnych; naiwny wreszcie dlatego, że pewne obszary tego handlu niedostępne są penetracji nawet Parlamentu, co dopiero pojedynczemu dziennikarzowi. A jednak problem ten wywołuje wiele kontrowersji i szerokie przekonanie społeczne o nierentowności wzajemnej wymiany, co — zdaniem wielu — ma niemały wpływ na obecną kondycję naszej gospodarki. Ludzie opowiadają sobie szeptem o bezustannie ciągnących na wschód transportach z cukrem (po 10 zł 50 gr za kilogram), niemal darmowym węglem, cementem, meblami, butami i czym tam jeszcze. Przywołuje się „znane” przykłady sprzedaży za ruble statków, których wyposażenie kupuje się za dolary. Zdecydowanie większa jawność naszych kontaktów staje się nakazem chwili i jawność taką zapowiedział w swoim exposé premier Mazowiecki.

MAŁASZEWICZE nie sprawiają wrażenia giganta. Nagle zza rachitycznego lasku wylania się stacja rozrządowa, jakich wiele. Poplątana sieć torów, jakieś obsmarkane wagony zepchnięte na bocznicę, kilka nieruchomych dźwigów, grupki bezczynnie waleśających się mężczyźni. Płaski, senny krajobraz Podlasia z całą pewnością daleki jest od wyobrażenia o pulsującym życiem centrum międzynarodowego biznesu. Tylko co chwila przemierzają wąskie drożki wopowskie i milicyjne gaziki. Wiadomo — granica.

Ludzie — kolejarze i robotnicy — mówią dużo i chętnie. Cóż z tego, skoro nie poparte to wszystko faktami, cyframi, dokumentami, a oprawne jedynie w chęć otchłoności ploty. Oficjele zaś, gdy pytam o handel między naszymi krajami, tylko się uśmiechają. Stosunkowo szybko dowiem się na przykład, ile wagonów radzieckich rozładowuje się w Małaszewiczach średnio w ciągu doby (250-300). Liczba polskich wagonów idących na wschód pozostanie jednak niewiadomą.

— Nie mogę podać panu takich danych — tłumaczy mi jeden z brygadystów — gdyż my tych wagonów nie rozładowujemy. Robi to Brześć. Musiałby pan tam zapytać. Tędy one po prostu tylko przepływają. Trudno byłoby stać i je liczyć.

— Też prawda. Ale chyba jakieś kwity przewozowe muszą być tu stemplowane — mówię.

— Tak. No, idzie węgiel i buty, kartofli mniej niż w maju, kapusta, jabłka, konfekcja, ubrania — normalnie.

Ze Związku Radzieckiego nadciągają natomiast — pomijając surowce — sól warzona, lodówki, telewizory, meble, konserwy rybne i alkohol — szampan i koniaki. To właśnie przy

rozładunku napitków chciała być konieczna obecna milicyjna ekipa nadzoru. My też liczyliśmy po cichu na „stłuczki”. Niestety. Przekazy o rozbiłaniu przez Polaków wagonów i przechwytywaniu deficytowych towarów też nie znajdują potwierdzenia. Przy obowiązującej tu szczelności ochrony trudno zresztą wyobrazić sobie podobną sytuację.

Czterdzieści procent ładunku nadjeżdżającego z ZSRR do Małaszewicz to tranzyt. Jesteśmy przy sortowaniu eleganckich leżaków idących na eksport do Francji. Robota idzie szybko, bo w Małaszewiczach pracuje się na akord. Na pytanie o zarobki jeden z robotników macha ręką: „E tam, to wszystko grosze”. Nie wierzę mu. Sam przecież na studiach zatrudniałem się do rozładunku wagonów i nawet przed laty szmal był za to potężny.

Dyrekcja odcinka kolei, podległa zresztą bezpośrednio Warszawie (sic!), daje jednak obraz rozmachu dziejących się tu spraw. Mało zachęcający fronton maskuje kryte boazerią wnętrza. Gabinet dyrektora Woźniaka jest obszerny, pełen nowoczesnych biurowych bibelotów, ze „strategiczną” mapą na ścianie. „Małaszewicze” bowiem to nie tylko Małaszewicze, to spora garść zagubionych w lesie satelickich stacyjek: Kowalewo, Kobylany, Małaszewicze Południowe, nazwane adekwatnie do sytuacji „Kamczatką”. I te irytujące szerokie tory, znajdujące swój bezsensowny kres między drzewami kilkanaście kilometrów od granicy.

— Ludzie pracujący tu na miejscu — mówi dyrektor Woźniak — są bardziej przekonani o intratności naszego handlu z ZSRR niż ludzie mieszkający w głębi kraju. Trzeba zrozumieć, że jesteśmy od siebie wzajemnie zależni, że jesteśmy po prostu skazani na współpracę. Dla nas, na przykład, o wiele ważniejsze niż dywagacje o profitach jest walka z szybko rosnącą konkurencją. Tranzyt do NRD idzie teraz przez nowe przejście w Białostockiem, metale przejęła Klajpeda. Z Rosjanami chce dziś handlować każdy: Niemcy, Amerykanie, Francuzi. Handel zagraniczny to zespół tak skomplikowanych powiązań, że pytanie o bezpośredni, wymierny zysk jest często bezzasadne. Jedynym prywatnym dostawcą mógłby panu dokładnie powiedzieć, ile zarobił.

Tacy dostawcy są w Małaszewiczach także. Okoliczni chłopci, bądź „bady-larze” z głębi kraju, często sprzedają tu swoje produkty „na pniu”. W Kobylanach rezydują radzieccy ajenci, podobnie jak w Brześciu polscy. Jedziemy do Kobylan. Początkowo, zapytany o przygraniczny handel, brzeski agent Mikołaj Sak reaguje normalnie.

— No cóż, wozi się papierosy, kawę, koniaki. — Dopiero po chwili orientuje się, że chodzi mi o ten handel między państwowy, przez duże H. Jest skonsternowany. — A, no tak — mówi śpiewna, rozciągliwa polszczyzną — no, ten handel to ma się zupełnie w porządku.

STOTNIE, mimo kryzysu gospodarczego, panującego w obu krajach, intensywność wymiany polsko-radzieckiej nie maleje. W ciągu lat zmieniają się tylko preferencje. Już nie idzie od nas, jak niegdyś, zboże, przyjeżdża za to drewno i papier. Dostawy ropy jakby się ostatnio skurczyły. Nie na tyle jednak, by można snuć podejrzenia o próby „zakreślenia kurka”.

Tak oto mają się sprawy w Małaszewiczach. Na powierzchni sprawnie i radośnie, w istocie zaś podejrzliwie i trochę tajemniczo.

A może to złudzenie?

Goście Wilno

„NA LITWIE NIE MA POLAKÓW!”

Henryk Makarski

JAN prezes Sienkiewicz jest najwyraźniej podekscytowany: — Panie, rzuć pan wszystko i jedź ze mną! W Mickunach dzisiaj właśnie uchwalamy Polski Obwód Autonomiczny, to precedens! Będiesz pan pierwszym dziennikarzem z Polski, który ma szansę zobaczyć to i usłyszeć na gorąco! No, jak? — poprawia rozwichrzone włosy i znów podnosi słuchawkę telefonu, który na jego redakcyjnym stole jazgotuje jak opętany.

Propozycję z bólem serca muszę odrzucić. Za godzinę mam być w polskiej szkole nr 19; nie mogę zawieść młodzieży, która ze wzruszeniem — jak przypuszczam — czeka na spotkanie z dziennikarzem i poetą z Polski. Są odświętnie ubrani i pod ławką wstydliwie skrywają wiązanki biało-czerwonych goździków. A nauczyciele przygotowali samowar z kawą i ciasteczka domowego wileńskiego wypieku... No, a prosto ze szkoły biegnę do TV, gdzie czeka na mnie redaktor Wojciech Karkut z polskojęzycznej Panoramy Tygodnia, cała maszynierka zamówiona na określoną godzinę, nie przelewki... Umawiamy się więc z prezesem Sienkiewiczem na nocną rozmowę w jego mieszkaniu, kiedy już wróci z zebrania w podwileńskich Mickunach.

Nowy blok mieszkalny przy ul. Konarskiego, piękne 4-pokojowe mieszkanie, jeszcze zapach żywicy (świeża boazeria nozdrza koi, roziskrzony szkłem żyrandol kojarzy się z kryształową łodzią, zawieszoną od wieków pod sklepieniem kościoła Piotra i Pawła na Antokolu... Gospodarz zadysza, ledwie wrócił z terenu, choć dochodzi dwudziesta trzecia, a tu gość w dom i... Herbata, na stół podana delikatną ręką gospodyni o subtelnej urodzie Catherine Deneuve, pozwala na oddech. Pani domu jest chyba znudzona społeczną misją męża, ale skoro się jest żoną prezesa Związku Polaków na Litwie... Zmęczenie tuszuje miłym uśmiechem i podaje kanapki do tej „mazowieckiej”, co to z Polski przyjechała.

Mieszkanie mamy wreszcie takie, jak należy, ale najpierw mieszkaliśmy przez wiele lat w hotelu robotniczym... — wyjaśnia gospodarz, urodzony w 1955 roku we wsi Wierbieńszki koło Wilna i wpisany przez radzieckiego urzędnika stanu cywilnego jako Iwan Sinkiewicz. Tak mu się podobało i tak wpisał. I tak okazał niezwykłą wprost łaskawość, odnotowując: „narodowość — Polak”, co w tamtych czasach było jeszcze rzadkością... Jan Sienkiewicz ukończył anglistykę w Mińsku i uczył w szkole na Białorusi, zresztą niedaleko Litwy, bo w rejonie oszmiańskim, we wsi Cudzaniszki. W czasie studiów poznał studentkę germanistyki, przysłą żonę, która urodziła mu Radosława i Iwonę. Od 1979 pracuje w redakcji „Czerwonego Sztandaru”, początkowo jako tłumacz, a obecnie kierownik działu ideologicznego.

Jak to się zaczęło ze zorganizowaniem naszej miejscowej polskości? Ano zaczęło się w roku 1987, po podpisaniu deklaracji o współpracy w dziedzinie nauki, oświaty i kultury między ZSRR i PRL. W deklaracji sformułowano możliwość zakładania polskich stowarzyszeń na terenie Kraju Rad. Ale władze nasze nie bardzo wiedziały, jak się do tego zabrać. Zaczęliśmy po omacku, bo zacząć musieliśmy.

Od lat w środowisku Polaków na Litwie trwała apatia i zobojetnienie, niewiara w możliwość jakichkolwiek przemian, gnuśność moralna i życiowy koniunkturalizm, przedkładanie doraźnych korzyści materialnych nad wartości wyższego rzędu. Wolno, ale wyraźnie postępowało wynarodowienie i degradacja. Słabo poczucie tożsamości narodowej, wyrodniliśmy językowo, karleliśmy duchowo. I nie tylko z naszej winy. Przez całe dziesięciolecie propago-

wano beznarodowość, unifikowano nie tylko życie społeczno-polityczne, ale i duchowe. Polacy obudzili się z tego marazmu dzięki temu, że zaczęto obrażać ich godność narodową, manipulować terminem przynależności narodowej. No i stanęliśmy w obronie świętego prawa decydowania o sobie...

Opracowując statut stowarzyszenia, na pierwszym miejscu postawiliśmy więc wtedy pracę na rzecz oświaty i kultury, budzenie świadomości narodowej. Na ogłoszenie zamieszczone w „Czerwonym Sztandarze” 2 maja 1987 roku, w auli Instytutu Pedagogicznego zebrało się ponad 300 osób nieobojętnych na sprawę polskie. Nazwa się zmieniała: najpierw Polskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, później Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie. Na początku żywiłymi pewne obawy: czy ludzie nas rozumieją? Czy nie powiedzą, że to kolejna inicjatywa typu „małasu dużo, korzyści mało”? Obawy okazały się płonne!

Mamy dziś w rejonach wileńskim i sołecznickim po 50 kół, ponad 30 w samym Wilnie, po 10 w rejonach trockim i święciańskim, dwa w szyrwinkim, po jednym w Kownie i rejonie ignalińskim. A trzeba pamiętać, że rozwijałymi się w coraz trudniejszym czasie: w lipcu 1987 roku powstał »Sajudis«, zaczęły się histerie, rozrachunki z duchami przeszłości, pretensje. Dużo nam pomógł kontakt z towarzystwem „Polonia”.

Od stycznia 1989 roku praktycznie żyliśmy już zjazdem założycielskim. Trzeba było koniecznie się zebrać i formalnie wybrać władze, a potem uzyskać osobowość prawną. Do tej pory działaliśmy jak samorzadki, wybrani przez 300 osób. Na zjazd (kwiecień 1989) przybyło 736 delegatów, reprezentujących 12-tysięczną już rzeszę członków! Przyjechało też 400 gości, m.in. z Polski. Zjazd to było, proszę pana, jedno wielkie wzruszenie. Były całe rzędy delegatów, zwłaszcza tych ze wsi, którzy płakali nie przestając...

Stosunek Litwinów i »Sajudisu«? No cóż, prezes Landsbergis wolał pojechać do Kowna na zjazd kobiecego „Caritasu”. Przysłał przedstawiciela i... telegram, w którym wyraził dezaprobatę dla kształtu i kolorów zaroszenia: biało-czerwona flaga wrkomponowana w mapę Litwy... — Jan Sienkiewicz uśmiecha się gorzko i kręci głowę. A potem przypomina to, co na zjeździe było najważniejsze.

Skoro trzeba dbać o świadomość narodową, należy zatroszczyć się o oświatę i kulturę. Przecież wśród 15 tys. mieszkańców republiki posiadających stopnie naukowe jest tylko 60 Polaków! Stawia nas to na szarym końcu pod względem wykształcenia, gorsi od nas są tylko Cyganie! Podobnie wygląda nasz udział w srodowiskach twórczych. Polacy najczęściej pracują jako robotnicy fabryczni lub rolnicy.

Chcemy zmienić ten stan rzeczy poprzez pozytywistyczną pracę od podstaw. Uruchomiliśmy już pierwsze polskie przedszkola, coś na kształt „zerówki” w Polsce, co umożliwi naszym dzieciom uzyskanie przygotowania do nauki w szkole. To ważna sprawa. Mamy wprowadzić polskie szkoły (ich liczba w ciągu 2 ostatnich lat zmalała z 92 do 88), ale niepokoi ich słaba baza materialna, niska jakość nauczania, brak podręczników, niewłaściwy stosunek władz republiki do spraw naszej oświaty. Wydział języka polskiego Wileńskiego Instytutu Pedagogicznego nie nadała z przygotowaniem kadry do szkół, a zresztą i on boryka się z brakiem podręczników itp.

W polskich szkołach nauka zorganizowana jest w ten sposób, że w I klasie uczą się tylko po polsku, w II — po polsku i rosyjsku, dopiero w III — dochodzi litewski, a w V klasie — język zachodni do wyboru. Po ukończeniu szkoły młody Polak

staje przed niebagatelną przeszkodą językową: egzamin na studia musi zdawać po rosyjsku. Wielu naszych maturzystów nie dostaje się więc na wyższe uczelnie. Nasze stowarzyszenie zwróciło się do towarzystwa „Polonia” oraz ministerstwa oświaty litewskiej SRR z prośbą o pomoc i osiągnęło pewien sukces... Otóż 18 maturzystów pojechało już na studia do Warszawy, Krakowa i Szczecina... Dyrektor Wileńskiej Szkoły Średniej nr 5, Wacław Baranowski, podkreślał na zjeździe, że podstawą istnienia narodu jest oświata, a oświata to nie tylko szkoła.

Polacy stanowią 8 proc. ogólnej liczby ludności Litwy, ale otrzymują o wiele mniej świadczeń, niż im się należy. Na przykład w 36-godzinny dobowy program litewskiej rozgłośni radiowej Polacy powinni mieć do dyspozycji 3 godziny, a mają... 30 minut. Podobnie w TV: zamiast 6 godzin tygodniowo, tylko 35 minut. Nie mamy czasopisma społeczno-kulturalnego, a niektórym Litwinom marzy się likwidacja „Czerwonego Sztandaru”... Mówiliśmy o szkole i znów wraca jak bumerang sprawa ważni narodowościowych... W dekreście o języku urzędowym ani słowa o języku polskim, a przecież jest nas tu blisko 300 tysięcy. Są takie miejscowości jak Sołeczniki, gdzie Polacy stanowią 80 proc. mieszkańców, w samym Wilnie jest nas ponad 100 tysięcy.

Nie jesteśmy cudzoziemcami i okupantami, którzy najechali Litwę w poszukiwaniu łatwego chleba i podboju cudzych ziem. Zawsze uczciwie pracowaliśmy dla dobra Litwy. Podkreślam — nie jesteśmy przybyszami. Jesteśmy autochtonami, bo jest ziemia naszych ojców i nie chcemy jej zmieniać, bo jesteśmy u siebie. Taka jest prawda historyczna, a nie żaden rewanżyzm. Dlatego przykro nam, że niektórzy nazywają nas Polonią. Nie Polonia, a Polacy mieszkający na Litwie...

»Sajudis«, czyli „Pospolite Ruszenie”... Faktycznie, naród litewski się obudził, ruszył drogą przebudowy narodowej, to wspaniała sprawa. Ale dlaczego w ruchu litewskiego odrodzenia narodowego zabrakło miejsca dla Polaków? Przecież my i tak nie damy się zlituanizować nacjonalistycznej ekstremie! Oto przykład konkretny, sprawa Jana Ciechanowicza, „wygryzonego” niedawno ze stanowiska prodziekana wydziału języków obcych Wileńskiego Instytutu Pedagogicznego. Nie na darmo jak owacyjnie powitali go uczestnicy naszego zjazdu. Ciechanowicz stał się symbolem nowych możliwości dyskryminowanej dotychczas mniejszości polskiej, został bowiem wybrany deputowanym ludowym ZSRR z ramienia Litewskiej SRR. Na zjeździe deputowanych w Moskwie domagał się pełnej rehabilitacji rodaków wywiezionych na Syberię czy do Kazachstanu tylko dlatego, że byli Polakami.

Do historii już przeszło opuszczenie sali obrad Zjazdu Deputowanych Ludowych przez większość litewskiej delegacji (w tym i Jana Ciechanowicza) na znak protestu przeciw decyzji o stworzeniu nadzoru konstytucyjnego, mogącego ograniczać suwerenność republiki...

— To prawda, że gdyby nie litewski ruch odrodzeniowy, to i my nie moglibyśmy się zorganizować, ale prawda jest i taka, że wybór Ciechanowicza odbył się z mandatu »Jedinstwa«, rosyjskiej konkurentki »Sajudisu«. »Sajudis« ma za złe Polakom, że szukają oparcia w »Jedności«, ale nie dostrzega, że sam popycha ich w ramiona Rosjan! Przecież »Sajudis« nie zdobył się na wysunięcie w wyborach choćby jednego kandydata blisko 300-tysięcznej polskiej mniejszości... Nie tylko nie wysunął Ciechanowicza, ale zaczął go niewybrednie atakować. Korynym argumentem przeciwko Ciecha-

nowiczowi, jako dwulicowemu „farbowanemu lisowi”, miało być oficjalne brzmienie jego nazwiska: Iwan Tichonowicz. A przecież to jedynie świadczy o dyskryminowaniu Polaków na Białorusi.

Mnie też w metryce „przetłumaczono” nazwisko... Krótko mówiąc, czy ja muszę w obawie przed czymś czy kimś eskortować swoje dzieci do szkoły i zabierać je stamtąd po lekcjach? A takie sytuacje miały miejsce w połowie lutego, kiedy histeria litewskiej ekstremy sięgała zenitu... Chcemy uparcie pracować dla dobra naszej Litwy, naszej Wileńszczyzny. Nie chcemy ulegać emocjom, bo może komuś bardzo zależy, by nas sprokować, zmusić do działań nieprześlanych...

Terkot telefonu znów przerywa nam rozmowę. Jest pierwsza w nocy, ale, widać, współpracownikom prezesa Sienkiewicza to nie przeszkadza. Zresztą zaraz mają tu się zjawić... Rozmyślam o tym, co usłyszałem w tym pachnącym żywicą mieszkaniu. I zastanawiam się, czym Polacy mogą denerwować pracujących i spokojnych w większości, a nawet flegmatycznych wręcz, Litwinów... Na pewno nie dodają nam splendoru takie oto butne wpisy do księgi pamiątkowej muzeum historycznego w baszcie Gedymina: „Z nadzieją, że w tych pięknie restaurowanych przez Polaków uliczkach polskiego Wilna znów niebawem dźwięczeć będzie tylko i wyłącznie piękna polska mowa — małżeństwo z Krakowa”. Albo złota myśl niejakiego dr. Jerzego H. z Berkeley (nazwisko niezbyt czytelne), pozostawiona w Muzeum Współczesnej Literatury Litewskiej przy ul. Antokolskiej: „Ekspozycja pachnie mi komunizmem i nacjonalizmem litewskim...”

Zjazd zakończyłymi podjęciem uchwały o przekształceniu Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie w niezależną, posiadającą osobowość prawną, organizację społeczną — Związek Polaków na Litwie. W przyjętych rezolucjach wyrażaliśmy m.in. zaniepokojenie stanem gospodarki w rejonach zamieszkałych przez ludność pochodzenia polskiego oraz poruszyliśmy problem dostępności I programu Telewizji Polskiej. Zebrani postanowili zwrócić się do papieża Jana Pawła II z wnioskami dotyczącymi działania kościoła polskiego na Litwie. Osobiście zwróciłem uwagę na konieczność pełnego ukazania dzieł Armii Krajowej na Wileńszczyźnie... — kontynuuje prezes.

Dzwonek u drzwi. Patrzę na zegarek: pierwsza trzydzieści... Wchodzi dwóch równie młodych — jako i prezes — mężczyźni. Czesław Okieńczyk jest wiceprezesem ZPL i jednocześnie przewodniczącym jego oddziału wileńskiego; kieruje też Kolem Adwokatów Polaków i bierze udział w pracach Prawniczej Grupy Poparcia »Sajudisu«; jako mecenas stanowi autorytet prawniczy związku. A Tadeusz Ławrynów jest zastępcą Jana Sienkiewicza do spraw gospodarczych. Młodzi, dynamiczni ludzie... Od tej chwili rozmawiamy we czterech, gospodyni donosi herbatę, kawę i kanapki.

Cel zjazdu został osiągnięty: oddzieliłymi się od Litewskiego Funduszu Kultury i obecnie czekamy na rejestrację. Rejestracja będzie punktem zwrotnym: 3—4 etaty, lokal o pow. 100 m kw. przy ul. Wielkiej (osobnie go wyremontujemy), no i świadomość samodzielności prawnej. Uzupełniliśmy statut o prawo do reprezentowania i obrony interesów Polaków na Litwie, oraz — uwaga! prowadzenia działalności gospodarczej. Romek Mieczkowski powiedział na zjeździe wprost: „Polakom na Litwie nie są potrzebne sentymenty czy łzy. Z nami kraj powinien jak najszybciej zawiązać spółkę akcyjną!” Chodzi nam o podniesienie stopy życiowej i kultury produkcji mieszkańców Wileńszczyzny, poprzez m.in. pozyskanie partnerstwa z firmami polskimi i — być może — zachodnimi. Byłby to niebagatelny argument na naszą, Polaków, korzyść. To będzie równo-uprawnienie i awans społeczno-polityczno-oświatowo-gospodarczy...

Kroci mnie, żeby zapytać o dzisiejsze zebranie w Mickunach, boć to przecież jeszcze gorące... Ale czy wypada? Skoro gospodarz się tym nie chwali, to znaczy, że coś — być może — nie wyszło...

(Koniec odc. 4. — c.d.n.)

WTASZKIENCIE obaj z Saszą zainstalowani zostaliśmy w hotelu Komitetu Centralnego partii Uzbekistanu, w pokojach z klimatyzacją w oknach. Urządzenie to wyglądało od środka jak wstawione w okienne ramy lodówki, a z zewnątrz jak metalowe gołębniki. Na partenie bez trudu znaleźliśmy bufet i znakomitą stółkę z doskonałym jedzeniem, dużo, dużo tańszym niż w restauracji.

Gdy rano, przed kilkoma godzinami startowaliśmy z moskiewskiego lotniska, było chłodno, ledwie 12 stopni. Tu jest 36 stopni w cieniu. skwar, duszno. I całkiem rozbity rytm biologiczny — między Warszawą a Taszkientem jest już pięć godzin różnicy w czasie. U nas jeszcze południe, a tam wieczór. W nocy nie można spać, za to do obiadu człowiek jest senny i nieswoj (zwykle wstaje u siebie o siódmej, czyli wówczas, gdy w Taszkencie w ostrym słońcu goreje samo południe).

Nazajutrz po przylocie w naszym prominentnym hotelu zjawia się młody, gładki w obojętym Uzbek, kolega Saszki, mojego specjalnego moskiewskiego opiekuna. Uzbek jest korespondentem terenowym APN w Taszkencie i przybył po nas służbową wołgą, aby zawieźć nas do „farfornowo zawoda”, czyli fabryki porcelany, położonej na przedmieściach przeszło dwumilionowego, dość chaotycznie zabudowanego i na orientalny sposób brudnego miasta. Uzbeki korespondent APN z punktu i bez krępacji zgłasza nam swoją propozycję natury, że tak powiem, organizacyjno-handlowej. Mianowicie, zamiast taksówki („w całym Taszkencie nie znajdziecie ani jednej wolnej »taxi«, słowo honoru”), oferuje nam swoją służbową wołgę. — Tyle, że zapłacicie za benzynę — dodaje.

Patrzmy z Saszą po sobie, zupełnie zdezorientowani.

No, o kilka litrów chodzi — uspokaja korespondent.

Chcąc nie chcąc, godzimy się. Ostatecznie kilka litrów to nie majątek, skoro litr etyliny-super kosztuje ledwie czterdzieści kopiejek. Udźwigniemy ten wydatek tym ochotniej, że w zamian uzbeki korespondent APN obiecuje wozić nas po Taszkencie, „gdzie tylko będzie życzenie”.

Na początek jedziemy do fabryki porcelany. Przyjmuje nas i oprowadza po firmie główny inżynier „farfornowo zawoda”, Diszad Maksudow. Wszystko wedle sztampy: historia zakładu, wielkość produkcji (ile przed rewolucją, ile przed wojną, ile obecnie), problemy, sukcesy — nudne, oficjalne statystyki i zapięta na ostatni guzik oficjalność.

Proszę o rozmowę z ludźmi, najchętniej robotnikami. Przyprawiają Marchamą Mumınową, brygadzistkę. Mówi, że wszystko jest okey. Produkcja, znaczy, idzie, ludzie dobrzy, bardzo zadowoleni. A jakże, jest głośność i jest pieriestrojka, obowiązkowo.

— A zarobki?

— No, są.

— Po ile konkretnie zarabiają ludzie?

— No, po 180 rubli. Plus premia. Według nowego systemu.

Nowy system ma polegać na tym, że do 180 rubli stałych poborów (średnio), może dojść 10, a nawet 20, w skrajnych zaś przypadkach aż 30 procent premii. O jej rozdziale decyduje rada brygady (ostatnio premię dzielą się jawnie, z udziałem wszystkich członków brygady). Jest to dość nieśmiała próba płacenia za rzeczywistą pracę, stosowanie tak zwanych bodźców materialnych.

Dziękuję brygadziście i nadal upieram się przy robotnikach. Docieram do tych zatrudnionych wprost przy taśmie. Do tych, do których sam chcę. Niestety, starsze pracownice nie znają rosyjskiego, potrzebny tłumacz. Młodszy mówią łamaną ruszczyzną i uważają, że najsprawiedliwszy byłby zarobek obliczany od sztuki. Wykonałeś, przykładowo, tysiąc porcelanowych filiżanek — zarobiłeś tysiąc kopiejek, po kopiejce od filiżanki, a nie jakaś tam pensja (za co? dlaczego akurat tyle?) albo jeszcze bardziej enigmatyczna premia. Jakby od jednej sztuki leciała ta jedna, przykładowa, kopiejka, to człowiek z portek by wyskakiwał, aby tych sztuk natrzaskać jak najwięcej. I to dopiero byłaby prawdziwa pieriestrojka. A tak wciąż jest jakiś plan, ciągle gadanie, to samo co

zawsze i podmalowywanie, kosmetyka.

Jeszcze śmielsi są fabryczni ekonomiści. Ich szefowa mówi:

— Z trzech milionów dwustu czterdziestu tysięcy rubli czystego zysku my odprowadzamy aż 40 procent do budżetu państwa oraz 32 procent do kasy naszego ministerstwa. Nam zostaje więc zaledwie 28 procent! Jeżeli o budżet chodzi — nie ma co dyskutować, sprawa jasna. Ale ministerstwo? Po co nam tyle ministerstw? (W ZSRR jest ich 94).

— No — wtrąca główny inżynier przytomnie — ministerstwo finansuje modernizację naszej fabryki...

— Owszem ripostuje ekonomistka — ale nam o wiele, wiele korzystniej byłoby zmodernizować się zupełnie samodzielnie, na własny koszt. Byłaby to modernizacja mądrzejsza, taka, jakiej chcemy, jaka potrzebna. I kilkakrotnie tańsza. Przecież w tych 32 procentach płaconych przez nas mieszczą się również płace całej armii ministerialnych urzędników, sekretarek, szoferów, koszty utrzymania wystawnych gabinetów, służbowych samochodów, dywanów, mebli, kryształów i te de. Po co to? Czy oni nie mogą robić czegoś pożyteczniejszego od papierów i biurokracji?

Oblicza pieriestrojki (2)

FAJANS

Stanisław Harasimluk

Chcą produkować porcelanę cienkościenną, lekką, filigranową. Posiadają świetne surowce. Potrzebne są tylko nowoczesne technologie i technika. Niestety — zachodnie. A na to potrzeba dewiz. Gdyby byli w pełni samodzielnymi, samą pozawieraliby kontrakty z zachodnimi kupcami, sprzedaliby im swoją porcelanę, za co zgromadziliby dość dewiz na zakup maszyn i licencji. Teraz mają związane ręce. Bo w centralach, ministerstwach, w tym i w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, oczywiście mają ważniejsze sprawy i problemy na głowie niż jakiś tam fajans czy nawet porcelana. No i jest, jak jest, czas umyka. I świat ze swoją techniką też umyka.

Skąd my to znamy? Nieudolne ministerstwa, ociężałe centrale handlowe, od których o nieba lepszym biznesmenem okazuje się pierwszy z brzegu Kowalski, jadący z wycieczką na Węgry lub do Jugosławii. Kowalski — mimo przeszkód i granic — uprawia z pasją i talentem swój mały handel bez granic; urzędnik zbrojny w monopolistyczne przywileje wykazuje zrećność mamuta odkopanego z wiecznej zmarzliny.

Główna ekonomistka w taszkienckiej fabryce porcelany mówi z ponurą powagą, że jeśli nic się nie zmieni, to wszystko, w tym i pieriestrojka, zasypie lawina papieru, zmiażdży bezwładny, potworny nacisk biurokracji. Ten stugłowy, na nic niezuchy moloch pochłonie wszystko.

W fabryce pracują niemal wyłącznie Uzbeki. Nie narzekają. Tak w ogóle. Gdyby zarabiali w pojedynkę, byłoby ciężko. Ale ich rodziny liczne, dzieci. Szesnaścioro rodzeństwa trafia się u jednej matki. Zaś w porcelanie pracują całe rodziny: ojciec, matka, synowie, córki, zięciowie i synowie. Czasem osiem, czasem dziesięć osób z jednego domu. Bywa, że po wypłacie wszyscy razem przynoszą do wspólnej rodzinnej kasy dwa tysiące i więcej rubli, a to już ciężkie pieniądze. Wtedy i o ładzie, i o wóldze można pomyśleć, a rzecz przemysławszy — kupić. Bywa.

Natomiast inni, samotni lub mniej ludni, którym Allah nie tak suto w dzieciach błogosławił, muszą żyć skromniej, czasem bardzo skromnie. Tu, daleko na wschodzie, mają inne, niewielkie zresztą potrzeby. Zupełnie inna mentalność, inna kultura. Tu można nad filiżanką zielonej herbaty przesie-

dzieć w kućki pół dnia, a drugą połowę przedrzeć nad drugą filiżanką. Jeden dzień w tę lub w tamtą stronę nie ma żadnego znaczenia, bo czas nie ma kresu, nie ma kresu sąsiednia pustynia Kara-Kum ani bezchmurne po horyzont niebo. Wszystko jest płynne i bezkresne — więc po co spieszyć się, po co szarpać, gonić jakieś złudne cele?

Ludzi tyle, co ziarenek piasku na pustyni, a życie, los jest jak ten wiatr, co przez setki kilometrów miecie burym piaskiem — przemierzając wydmy, wądoły, rozpadliska. Cóż może biedne, małe i szare ziarenko? Może tylko trwać. Tylko tyle. I aż tyle.

Oczywiście, w dzisiejszym Taszkencie tego się tak ostro nie odczuwa. Jest to raczej filozofia z jurty i prywatnego domu, z bazaru, nawet z czajny. Ale rzadziej z ulicy. Zwłaszcza arterii paromilionowej stolicy środkowego Wschodu, czwarte-go co do wielkości miasta ZSRR. Tu panuje ruch i pośpiech, hałas silników z gazem do dechy i klaksonami naciskanymi permanentnie, z wielką pasją — mimo zakazu ich używania. No, ale nakazy ustanawia władza, one przeciętnych mieszkańców Taszkentu nie dotyczą. Przejżdżają więc (i oczywiście przechodzą) skrzyżowania na czerwonych

światłach, byle tylko znalazła się odrobina miejsca. Spieszą się na złamanie karku — gdy idzie o ich własny, prywatny czas, ich prywatny interes. A tak na dobrą sprawę: tu nie ma innych niż własne interesów. Jeżeli ktoś w kolchozie pasie 100 owiec kolchozowych i 20 własnych, to oczywiście jest rzeczą, że w tym stadzie najdorodniejsze są owce pastucha i że to one przyprowadzają co roku nawet sto jagniąt... Allah może wszystko, jest wszechmocny.

Allach oczywiście szczególnie upodobał sobie Uzbeków. Nawet partyjnych. Nawet tych, którzy pokonczyli marksistowskie studia i zostali korespondentami APN. Oto nasz dysponent służbowej wołgi, małego wzrostu, lecz wielkiego handlowego ducha, dżentelmen niespełna trzydziestoletni, a już właściciel dóbr rozlicznych, w tym i znakomitej lady — odwożąc nas z fabryki porcelany do hotelu, wstąpił po drodze do ichniego CPN i bez mrugnienia powieką rzekł do nas, swoich ukochanych i wielce szanowanych gości:

— No, rebiata-maladcy, dawajcie szesnaście rubelków na benzynę. Zaprawiać nada.

Powiedział to tak naturalnie, z taką prostotą, tak zniewalająco niewinnie, że odruchowo sięgnęliśmy do portfelów i dołożyliśmy po osiem rubelków. Taszkiencki korespondent wziął forszę i stanął przed dystrybutorem, dobywając z bagażnika 20-litrowy kanister.

Trzeba sprawiedliwie powiedzieć, że 20 litrów benzyny wlał do zbiornika wołgi, zaś tylko jeden pełny kanister z paliwem (do własnej lady) schował w bagażniku. Patrzył nam prosto w oczy i promieniował zadowoleniem. Bo oto nie dość, że gościom z Moskwy i Warszawy, kolegom po fachu, oddał braterską przysługę, podwiózł ich tych kilka kilometrów, to jeszcze przy okazji utulił świetny interes — świetny dla swego taszkienckiego oddziału APN i dla siebie (dla swojej lady). Czy można od życia oczekiwać większej harmonii?

A pieriestrojka, głośność?

O, to są rzeczy ważne i poważne. Bardzo ważne i bardzo poważne. Ale Moskwa — daleko. Za wielką pustynią, za wielkimi górami i wielkimi rzekami. Tu natomiast jest życie — zwyczajne i prawdziwe. Takie, jakim kształtowały je wieki tradycji.

WSPOMNIENIE O WRZEŚNIU

Dokończenie ze str. 1

mij polskiej kontynuację walki z przeważającymi siłami wroga. Ani przez chwilę nie sądziłem, że powrócę do Polski dopiero po czterech latach”.

Ryszard Kapuściński zaś tak zapamiętał ten dzień:

„Pamiętam, jak szedłem z moją siostrą obok wozu zaprzęzonego w konia. Wysoce na sianie leżał na prześcieradle mój dziadek. Był sparalizowany. Kiedy rozpoczął się natłok, cały cierpliwie maszerujący dotąd tłum wpadł nagle w panikę.

Ludzie szukali schronienia w rowach, w krzakach, na kartoflanym polu. Na pustej teraz drodze pozostał tylko wóz, na którym leżał mój dziadek. Mógł widzieć, jak nadlatują samoloty i jak nagle nurkują w dół. Kiedy odleciały, powróciliśmy do wozu i moja matka wytarła pot z twarzy dziadka. Po każdym nalocie pot spływał po jego zmęczonej, wycieńczonej twarzy.

Wszędzie napotykał się padłe konie. Biedne konie, wielkie, bezbronne zwierzęta nie umiejące szukać

schronienia. Stały one nieruchomo, czekając na śmierć. Wszędzie były ciała koni — czarnych, gniadych, pstrokatek, karych — leżące na boku z kopytami sterczącymi w niebo, jakby w niemym proteście wobec świata. Wyglądało to tak, jakby była to wojna nie między ludźmi, a właśnie między koniami, jak gdyby to one były jedynymi ofiarami bombardowań”.

I jeszcze dla kontrastu, fragment wypowiedzi obecnego prezydenta Republiki Federalnej Niemiec, Richarda von Weizsäckera:

„Dwa czy trzy dni przed pierwszym wrześniem wyruszył nasz batalion — ale nie jak w sierpniu 1914 roku z muzyką i w pełnym słońcu. Wyruszyliśmy w ciemnościach, maszerując bocznymi drogami. Wczesnym rankiem 1 września wkroczyliśmy do Polski. Wkrótce

wywiązała się walka. Kilka kroków ode mnie padł mój starszy brat Heinrich. Ledwie mieliśmy czas, by jego i innych zabitych pochować, a już musieliśmy spieszyć dalej. Zaczął się czas cierpienia.

Nie byliśmy lepsi ani gorsi od naszych ojców, którzy 25 lat wcześniej zostali wciągnięci w I wojnę światową. I nie byliśmy ani lepsi, ani gorsi niż nasze dzieci, które nas dzisiaj osądzają. Tak jak żołnierze wszystkich armii byliśmy uczeni posłuszeństwa. Nie wychowywano nas w duchu opozycji i buntu pod ochroną liberalnych konstytucji. Podlegaliśmy tej samej wrażliwości, co każdy człowiek, ale w momencie trudnej decyzji zabrakło nam politycznej wyobraźni”.

W. H.

beznadziejność sytuacji i nakłonić do ataku na polskich partyzantów. Miała to pociecha zarówno dla uważnego czytelnika, jak i dla mnie, a nade wszystko dla polskich partyzantów oraz dla poległego w tej walce Bogdana Gubały, jednego z dzielniejszych partyzantów Przebraża.

Oddajmy jeszcze raz głos Szczepanowi Kamińskiemu.

— Wracając po akcji razem z oddziałem Kowalenki w rejon Chołopin, powiedziałem przedtem do naszych ludzi: Chłopaki, czy i uszy otwarte! Jeszcze może być różnie!

I było różnie, tylko tydzień później. Wobec odmowy „Drzazgi” oraz walnego udziału jego plutonu w masakraze własowców pod Słowatyczami, dowódca „Łuny” został zaproszony na jeszcze jedno spotkanie z Kowalenką. Tym razem dla omówienia rzekomej akcji na tory kolejowe w okolicach Rozyszc. Pojechał i więcej nie wrócił.

W SUMIE jednak „Czerwone noce” nie wymagają ponownego napisania. Gdyby kiedyś miało ukazać się piąte wydanie, wystarczyłoby niewiele poprawek, aby stały się one całkowicie prawdziwym obrazem dramatu Polaków na Wołyniu, w tym również „sielankowych” stosunków z partyzantką radziecką.

Różnie było też z obrońcami Przebraża po zakończeniu wojny. Dość powiedzieć, że sam ich dowódca, Henryk Cybulski otrzymał, w „nagrode” za uratowanie 25 tysięcy kobiet, dzieci i starców, podwójny wyrok śmierci. W latach 70., już jako sławny autor „Czerwonych nocy”, otrzymał krzyż Virtuti Militari — drugi, bo pierwszy przyznał mu Londyn w 1944 roku. A jego skryba, czyli piszący te słowa, a także słowa składające się na „Czerwone noce”, do dziś nie jest przekonany, czy powinien je ułożyć w takim kształcie, w jakim się ukazały, czy też poczekać do szuflady do dziś, czyli równe 25 lat...

Tak zwane samo życie dopisało jeszcze jeden, również niecenzuralny rozdział do mojego i „Czerwonych nocy” zyciorysu. W 1969 roku w lubelskim Domu Nauczyciela odbywał się I Krajowy Zjazd Młodych Pisarzy. Wytrzymałem na trybunę ze świeżym egzemplarzem „Czerwonych nocy” i publicznie wyklepałem większość z tych przepychanek z cenzurą. Na szczęście dobry duch powstrzymał mnie przed oskarżeniami pod adresem partyzantów radzieckich. Z rozpedu wspominałem też o pewnych wołyńskich grzeskach Józefa Sobiesiaka — „Maksa”, dowódcy oddziału partyzanckiego działającego w okolicy Przebraża, a potem przetrzonego w Kieleckie jako „Brygada Grunwald”. Wspominałem m. in. o tym, że część przewag zamordowanego po wojnie przez UPA dowódcy innego oddziału — Komiszczuka, znalazła się we wspomnieniach „Maksa” jako jego własne. I to, że w przeddzień decydującego szturm banderowców na samoobronę w Hucie Stepańskie, skupiającej około 15 tysięcy bezbronnej ludności „Maks” wyszedł z Huty z całym swoim oddziałem, jakby nie mógł poczekać jeszcze dzień czy dwa, i nie dopuścić do masakry. A wtedy, w latach sześćdziesiątych, „Maks” był kontradmirałem i świętnikowym partyzantem, co jednak niewiele lat później nie uchroniło go od tajemniczej śmierci w rezultacie pobicia na Śląsku. Ciekawe, czyje to ręce i buty zmasakrowały „Maksa” w biały dzień. Słynnego „Maksa” — Sobiesiaka, i bądź co bądź, kontradmirała...

Na sali Domu Nauczyciela: konsternacja! Obecny na zjeździe jako gość honorowy Melchior Wańkiewicz ostentacyjnie wstał i bez słowa uściłnął moją spoconą dłoń. Był zdumiony desperackim wystąpieniem młodego literata.

Mój wyskok nie był aktem odwagi. Był aktem głupoty i naiwności razem wziętych. Po latach, znajomy pracownik SB powie do mnie w przypływie szczerości: „Zastanawialiśmy się tylko nad jednym — czy zdjąć ciebie od razu z sali, czy z domu”.

Nie zdjęli ani na sali, ani w domu. Zdjęli z pracy. Dwa tygodnie później przestałem być dziennikarzem „Sztandaru Ludu”. Ale ta glossa nie znajduje się w żadnym wydaniu „Czerwonych nocy”...

Henryk Pajak



Fot. Waldemar Stępień

URATOWAĆ JAK NAJWIĘCEJ

Rozmowa z Markiem Wyszowskim, przewodniczącym Społecznego Komitetu Ochrony Zabytków Cmentarnych w Lublinie

— Proponuję, abyśmy naszą rozmowę rozpoczęli od pewnej autoprezentacji. Od zapoznania czytelników z historią, składem i celami komitetu. Odnoszę bowiem wrażenie, iż jego działalność jest chyba nieco zbyt mało rozpropagowana.

— Rozpocznijmy zatem od wyjaśnienia, że Społeczny Komitet Ochrony Zabytków Cmentarnych nie jest instytucją samodzielną. Jesteśmy organem Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Lublina, zajmującym się lubelskimi nekropoliami. Działamy od 1987 roku. Skrzyknęliśmy się spontanicznie przed Świętym Zmarłych, a pierwszą naszą akcją było zorganizowanie kwesty na lubelskich cmentarzach. Pieniądze uzyskane tą drogą przeznaczyliśmy na renowację najbardziej tego potrzebujących grobowców. Obecnie komitet skupia 24 osoby. Ludzi dobrej woli różnych zawodów. Są wśród nich architekci, konserwatorzy, historycy sztuki, dziennikarze, aktorzy, naukowcy, pracownicy służb komunalnych. Ludzie, którym te sprawy leżą na sercu z różnych względów, społecznych, ale i zawodowych.

Jakie są cele komitetu? Częściowo wyjaśnia to już jego nazwa. Przez słowo „ochrona” rozumiemy cały kompleks zagadnień. Po pierwsze, chodzi nam o poznanie lubelskich cmentarzy w aspekcie historycznym, artystycznym, zabytkowym i przyrodniczym. Wyszukujemy zatem biogramy ludzi na nich pochowanych i gromadzimy je. Opracowujemy także architektoniczną i historyczną dokumentację naszej działalności — to popularyzacja wśród społeczeństwa kulturowych wartości cmentarzy. Uważam to za bardzo ważne. Ludzie zbyt mało wiedzą o cmentarzach. Jeśli nawet pominiemy wartości artystyczne, to przecież są tam nazwiska osób znaczących dla historii nie tylko miasta, ale i kraju. Chcemy społeczeństwu przybliżyć wiedzę o nich. Przykładem konkretnego działania może być nasza współpraca przy redagowaniu przewodnika po cmentarzu rzymskokatolickim przy ulicy Lipowej. Wreszcie trzeciej kierunek działań to ratowanie zabytków cmentarnych. Zlecenie i wykonywanie prac konserwatorskich oraz zdobywanie i gromadzenie na ten cel funduszy.

— Właśnie — fundusze. Wiele ważnych spraw w Polsce rezbija się z tej przelicznej przysypany, że nie ma funduszy. Jak komitet radzi sobie z tą sprawą? Jedną formę lublinianie uważają. Mam na myśli kwesty organizowane w dniu Święta Zmarłych na lubelskich cmentarzach...

— Rzeczywiście, kwesta na cmentarzach to nasza największa i najbardziej spektakularna akcja, mająca na celu zdobycie środków materialnych.

I co warto podkreślić — wszystko robione jest społecznie. Zgłaszają się do tych kwest ludzi znani w mieście: przedstawiciele władz, aktorzy, dziennikarze, naukowcy. Ludzie o niekwestionowanym autorytecie. I ta działalność ludzi wciąga. Na długo przed Świętym Zmarłych przychodzi do mnie i deklaruje swój udział w kwestie. Wciąż jednak — mimo dużej liczby kwestujących — jest ich zbyt mało. Nie możemy przez to w pełni obsadzić wszystkich cmentarzy. A przecież można by kwestować nie tylko 1 listopada, ale i w przeddzień, kiedy także bardzo wielu ludzi odwiedza cmentarze. Może ta rozmowa zachęci kogoś do wzięcia udziału w naszej akcji: Im więcej nas będzie — tym lepiej.

Kwesta to największe źródło pieniędzy, ale staramy się zdobywać je także innymi sposobami. Prowadzimy zbiórki przy okazji różnych imprez oficjalnych. Warto także wspomnieć o indywidualnej działalności członków komitetu. Tu mistrzem jest Janusz Cieśliński, który zawsze znajduje sposoby zdobycia pieniędzy. Głośną, zainicjowaną przezeń akcją była renowacja grobowca Jana Mincla, do której potrafił wciągnąć wielu lubelskich — choć nie tylko lubelskich — kupców i rzemieślników.

Teraz — poza oczywiście kwestą — przygotowujemy nową akcję. Zamierzamy zwrócić się z apelem do różnych środowisk o objęcie swego rodzaju patronatem grobowców ludzi wywodzących się z tych środowisk. A jest takich środowisk wiele. Ze wymienię dla przykładu lekarzy, adwokatów, oficerów, nauczycieli czy księży. Możemy wskazać wiele takich grobowców, udośćpie biogramy, zapewnić współpracę konserwatorów i architektów. Sądzę, że takie patronaty mogłyby przynieść wiele dobrego.

— Nie ulega wątpliwości, że ochrona zabytkowych grobowców jest sprawą nagłą. Ale przecież cmentarze nie sącyjnie niszczone dopiero teraz. One niszczą od dawna. Ale dopiero teraz zaczęto o tym mówić, pisać i — co najważniejsze — wzięto się za ich ratowanie. Dlaczego stało się to tak późno? Przecież gdyby renowacje starych grobowców były prowadzone na bieżąco, można było uniknąć tak wielkich szkód...

— Najprostszą i w sposób oczywisty narzucającą się odpowiedzią byłoby stwierdzenie, że winę za stan zniszczeń na cmentarzach ponoszą służby konserwatorskie. Jest to jednak daleko bardziej złożona. Na kulturę — a ochrona zabytków to przecież działalność kulturalna — nigdy w Polsce nie było za wiele pieniędzy.

Decydenci, zapatrzeni w przyszłość, zdawali się nie dostrzegać przeszłości. Sytuację dodatkowo utrudniał fakt, że cmentarze to jednak zabytki sakralne, pomijane na ogół milczeniem. Zanim do świadomości pewnych ludzi dotarło, że stanowią one istotną część naszej kultury narodowej, doszło do niepowetowanych strat. Najbardziej drastycznym przykładem może być los małego cmentarza przy kościele ewangelicko-augsburskim w Lublinie, który praktycznie przestał istnieć. Na innych cmentarzach jest niewiele lepiej.

Nie chcę oczywiście powiedzieć, że przez te wszystkie minione lata nie próbowano zrobić czegoś dla ratowania zabytków cmentarnych. Próby takie były podejmowane w gronie przewodników PTTK. Działania społeczne były, ale były one nie zawsze dobrze widziane przez władze. Nie było odpowiedniego klimatu dla tego typu działalności. W ogóle poprzedni okres nie sprzyjał temu, by zajmować się przeszłością. Zwłaszcza tą niezbyt odległą — XIX i XX wieku. Powstania, legiony — tych tematów raczej nie podejmowano. A przecież na lubelskich cmentarzach wiele jest grobów powstańców, legionistów, żołnierzy poległych w wojnie 1920 roku. Na szczęście czasy tematów tabu zdają się odchodzić w przeszłość i można teraz zająć się na-

prawianiem zła wyrządzonego przez całe lata.

— Takim tematem tabu był przez wiele lat Katynia. Słyszałem, iż komitet, który pan reprezentuje, podjął działania na rzecz upamiętnienia symboliczną mogiłą polskich oficerów zamordowanych w Katyniu...

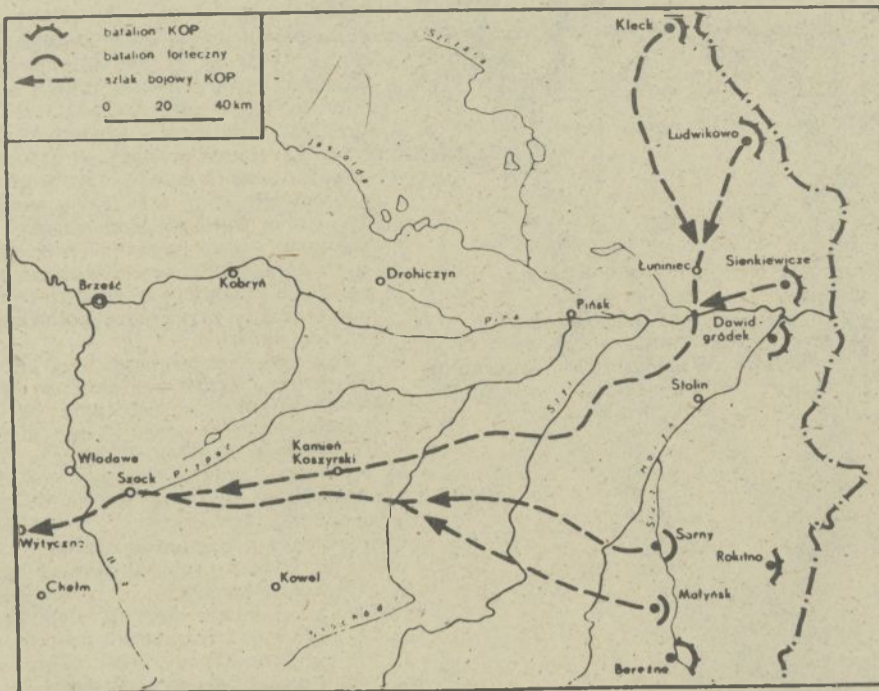
— Istotnie podjęliśmy takie działania. Jest na cmentarzu przy ulicy Lipowej miejsce zwane powszechnie narożnikiem katyńskim, w którym ludzie co roku z okazji Święta Zmarłych składają kwiaty i zapalają znicze. To miejsce właśnie chcemy zaadaptować na symboliczną mogiłę. Będzie to jednak wymagać całego szeregu działań. Przede wszystkim należy naprawić popękany mur i dach. Chcemy to zrobić jak najszybciej, ażeby już na tegoroczne Zaduszki można było położyć tam płytę z napisem „Ofiarom Katynia”. Dyrektor Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej zobowiązał się dać nam taką płytę. W przyszłości chcemy po obu stronach płyty umieścić tablice z nazwiskami tych ludzi pomordowanych w Katyniu, którzy związani byli z Lublinem. Myślimy także o mozaice z wierunkiem Matki Boskiej Katyńskiej.

Na razie najważniejszą rzeczą jest, by powstał komitet budowy owej symbolicznej mogiły. Bez tego niewiele możemy zrobić. Możemy jedynie ograniczyć się do zainicjowania — mam nadzieję, że poprze nas w tym redakcja „Relacji” — całej akcji. Chcemy wyjść z inicjatywą do różnych środowisk: wołyńskich, sybiraków, byłych żołnierzy Armii Krajowej. Sądzę, że w pracy komitetu mogłyby włączyć się także indywidualne osoby cieszące się dużym społecznym autorytetem, jak choćby prof. Bender, który — jako poseł poprzedniej kadencji — poruszał sprawę Katynia w Sejmie.

Powołanie komitetu jest zatem sprawą najpilniejszą. Dopiero bowiem po jego powstaniu sprawa budowy mogiły ofiar Katynia może rzeczywiście ruszyć z miejsca. Już teraz jednak gromadzone są fundusze na ten cel. Janusz Cieśliński już dziś zbiera pieniądze i przesyła je na nasze konto z adnotacją, na jaki cel są one przeznaczone. Dla tych wszystkich, którzy zechcą wnieść swój wkład, podam numer naszego konta: Bank Przemysłowo-Handlowy II Oddział w Lublinie, 324 207-1934-132 (z dopiskiem na jaki cel).

— Życząc zatem powodzenia nie tylko przy budowie mogiły ofiar Katynia, ale i całej działalności Społecznego Komitetu Ochrony Zabytków Cmentarnych i dziękuję za tę rozmowę.

Rozmawiał:
Andrzej Z. Kowalczyk



Szlak bojowy oddziałów KOP ze środkowego odcinka granicy (wg R. Szubański, WPH, 3/89, s. 306)

Reprod. Jerzy Bandura

STOSUNEK sił nie pozwalał Polsce na prowadzenie wojny na dwóch frontach, wobec tego w polskim planie wojennym „Zachód” wszystkie istniejące i możliwe do sformowania wielkie jednostki przeznaczono na front niemiecki, pozostawiając na wschodzie jedynie osłonę w postaci — osłabionych poważnie w wyniku mobilizacji — wojsk Korpusu Ochrony Pogranicza. Po mobilizacji, na radzieckiej, łotewskiej i litewskiej granicy pozostały tylko 22 bataliony piechoty oraz trzy szwadrony i dywizjon kawalerii. We wrześniu 1939 roku jednostki te miały zmniejszone stany liczebne, mały odsetek doświadczonych w bojach kadry dowódczej i stosunkowo dużą liczbę żołnierzy z rezerwy narodowości niemieckiej, skierowanych na wschód — przed ich ewentualną dywersyjną działalnością na froncie zachodnim. Jednostki KOP charakteryzowały się w większości małą liczbą broni maszynowej, brakiem artylerii, także przeciwpancernej, niedostatecznym wyposażeniem w środki łączności oraz brakiem taborów, kuchni polowych itp. Dwa bataliony forteczne KOP, obsadzające umocnienia na linii Stucz, również zostały osłabione przez przekazanie części personelu i uzbrojenia na zachód. Poza tym, przedstawiając znaczną siłę w przypadku obrony na miejscu, nie były one przystosowane do działań ruchomych.

Napaść Związku Radzieckiego o świcie 17 września była dla jednostek KOP zaskoczeniem. Szeregami odcinków „Głębokie”, „Wilejka” i „Baranowicze” na północy oraz „Równe” i „Podole” na południowym odcinku granicy zostały zaatakowane natychmiast po podjęciu działań zbrojnych przeciwko Polsce przez Armię Czerwoną, ponieważ tamtejszy ruszyły duże i szybkie jednostki radzieckie w celu odcięcia armii polskiej dróg ewakuacji na północ (Litwa, Łotwa) i na południe (Rumunia, Węgry).

Siły KOP we wrześniu 1939 r., na całej długości granicy chronionej przez Korpus, nie przekraczały 20 tysięcy żołnierzy, co dawało nasycenie 10—15 żołnierzy na 1 kilometr granicy. Związek Radziecki skierował na Polskę dwie armie. Na poszczególne odcinki KOP nacierały wojska radzieckie przeciwnie w sile korpusu, złożonego z trzech dywizji piechoty, oddziałów pancernych, kawalerii i artylerii, przy współdziałaniu lotnictwa.

Większe nasycenie wojskiem i trudniejsze warunki terenowe (bagna, kompleksy leśne) po stronie polskiej w środkowych odcinkach granicy („Polesie” i „Sarny”) oraz mniejsze zainteresowanie Armii Czerwonej szybkim wkroczeniem na te tereny, spowodowały późniejsze wejście w styczność bojową z Rosjanami tamtejszych jednostek KOP, co dało im możliwość wycofywania się na zachód, w kierunku Polski centralnej. Stojący na czele KOP gen. Wilhelm Orlik-Rückemann (miejsce postoju Pińsk, a następnie Dawidgródek), natychmiast po wkroczeniu Armii Czerwonej do Polski, polecił nawiązać łączność ze wszystkimi odcinkami KOP. Udało się to tylko na odcinkach „Sarny” i „Polesie” oraz batalio-

Jesień 1939

ARMIA CZERWONA NA LUBELSZCZYZNIE

Zbigniew R. Muszyński

nu „Kleck” z odcinka „Baranowicze”. Z jednostek broniących ten odcinek sformowana została grupa dowodzona przez gen. W. Rückemanna.

Cofające się na zachód oddziały KOP staczały walki z nękającymi i atakującymi je jednostkami radzieckimi. Największe całodziennie walki grupa stoczyła 28 września w rejonie Szacka (27 km pld. wsch. od Włodawy) z siłami 52 DP Armii Czerwonej, przebijając się do Bugu z dużymi stratami.

ODDZIAŁY KOP zbliżyły się nocą z 28 na 29 września do Bugu w rejonie miejscowości Koszary i Grabów (10—15 km pld. wsch. od Włodawy). W skład grupy wchodziły: brygada KOP „Polesie” pod dowództwem płk. dypl. Tadeusza Różyckiego-Kolodziejczyka i pułk KOP „Sarny” pod dowództwem płk. Nikodema Sulika oraz kilka mniejszych oddziałów.

Przeprawa na zachodni brzeg Bugu planowana była pod Koszarami (naprzeciwko Sobiboru) oraz w rejonie Grabowa (naprzeciwko wsi Wolczyn). Ponieważ w rejonie Koszar pojawiły się jednostki Armii Czerwonej, wojska KOP przeprowiły się w rejonie Grabów — Adamozuki (15—18 km pld. wsch. od Włodawy), naprzeciwko wsi Zbereże. Przeprawa trwała od świtu do godz. 10. 29 września. Około godz. 9. nad przeprawą krążyły dwa sowieckie samoloty. Przeprawa odbyła się na łodziach, promem oraz w bród po wycieczonych pływaczach.

Pułk „Sarny” i dowództwo grupy przeprowiło się w całości z pełnymi taborami, pozostawiając i niszcząc tylko kilka samochodów ciężarowych. Oddziały brygady „Polesie” nadchodziły na przeprawę z opóźnieniem (od godz. 7 rano) i w dużym rozproszeniu. W nocy, przed dojściem do przeprawy, brygada straciła prawie całkowicie swoje taborę, pluton działek ppanc. i kilka cekaemów. D-ca baonu „Dawidgródek”, wchodzącego w skład brygady, mjr J. Tomaszewski został w walkach ostatniej nocy ranny i zmarł wkrótce.

W ciągu reszty dnia 29 września i następnego dnia (sobota) grupa odpoczywała w rejonie Stołno — Kosyń. D-two grupy, przemieszczając się ze wsi Zbereże do Stołna, zostało ostrzelane przez miejscowych dywersantów (prawdopodobnie Ukraińców), których rozproszone. Zarządzono dalsze wy-

marsz grupy na wieczór 30 września. W dniu tym grupa liczyła (według L. Głowackiego) około 240 oficerów oraz ok. 2 tysięcy podoficerów i szeregowych. D-ca grupy, gen. W. Orlik-Rückemann, oceniał jej stan w tym dniu na 3 tysiące, w tym z brygady „Polesie” tylko 800—1000 ludzi. W związku z tym brygada została przeorganizowana w jeden baon, na czele którego stanął ppłk Jan Dyszkiewicz. Żołnierze brygady byli przemęczeni i — według oceny d-cy grupy — zdemoralizowani. Pułk „Sarny” przedstawiał siłę trzech słabych baonów, ale o dużej jeszcze wartości bojowej. Według oceny gen. W. Rückemanna, „stan artylerii dobry, lecz amunicja prawie wyczerpana. Haubice mają jeszcze po 8 pocisków, a połówki 75 mm po 40 pocisków na działo”. 30 września wydano brygadzie (baonowi) ostatnie zapasy żywności z d-twa grupy i częściowo z pułku „Sarny”. Rano odeszła od grupy szkoła mechaników lotniczych z dwoma oficerami. Dostali pieniądze i prowiant na drogę. Pozostałym wypłacono żołd i pobory za październik.

Wieczorem 30 września o godz. 17 d-ca grupy dokonał przeglądu wojsk całej grupy we wsi Kosyń. Oddziały ruszyły na zachód w zgrupowaniu marszowym: dwa baony pułku „Sarny” z artylerią, baon „Rokitno” mjr. M. Wojciechowskiego z tegoż pułku i baon

W niedzielę, 1 października, o świcie przeszły szosą w kierunku Wólki Wytuckiej i skryły się w lesie za jeziorem ostatnie pojazdy taborowe. W tym czasie od strony starego gościńca pokazało się trzech jeźdźców. Po rozpoznaniu przez łownikę, że to bolszewicy (w tym jeden oficer), ze stanowiska erkaemu znajdującego się przy skrzyżowaniu dróg (obok m.p. d-twa grupy) pociągnięto po nich serią. Oficer spadł z konia, dwaj pozostali odjechali galopem. Po kilkunastu minutach z tego samego kierunku rozpoczęła ostrzał artyleria, a następnie wzdłuż szosy z kierunku Urszulina i na zachodnią część wsi Wytuczno (wzdłuż starego gościńca) natarła piechota, wsparta czołgami i nasilającym się ogniem artyleryjskim. Stanowiska artylerii rosyjskiej znajdowały się około dworu w Wytucznie (1,5 km od zachodniego skraju wsi). Do walki włączyła się polska artyleria, stojąca w lesie obok Wólki Wytuckiej. Pierwsze natarcie zostało wstrzymane, a jedynie artyleria przeniosła silny ostrzał na las w rejonie Wólki Wytuckiej. Polska artyleria odpowiedziała ogniem, skierowanym na stanowiska artylerii rosyjskiej, powodując całym ostrzałem straty i panikę (opowiadali później o tym mieszkańcy zabudowań dworskich). Według relacji gen. W. Rückemanna, zniszczono dalsze dwa czołgi.

„Polesie”. W sytuacji wyjściowej baon „Rokitno” zabezpieczał rejon przejścia od południa, a najsilniejszy, lecz znajdujący się w najgorszej kondycji, baon „Polesie” — od północy. Po przejściu całości baony te miały iść w straży tylnej kolumny. Celem były lasy w okolicach Parczewa, gdzie spodziewano się dołączyć do grupy gen. F. Kleeberga.

Przemarsz do Wytuczna odbył się bez żadnych wypadków i styczności z nieprzyjacielem. Przy przekraczaniu szosy w Wytucznie, na zachodnim skraju wsi, między godz. 1 a 2 w nocy 1 października, szosą od pld. zach. (od strony Urszulina) zaatakowane zostały przez radzieckie czołgi (samochody pancenne?) czołowe oddziały kolumny. Napastnicy przyjęci zostali ogniem działek ppanc. i połówek. Rosjanie wycofali się, tracąc przy tym (według relacji gen. W. Rückemanna) 4 czołgi. Pod osłoną rozwiniętego baonu przeprowiła szosę następny baon i rozpoczęły przechodzić taborę. Walka z rosyjskimi pojazdami opóźniła przemieszczanie się wojska przez szosę.

WPOCZĄTKOWEJ fazie walki położenie wojsk grupy KOP było mniej więcej następujące: trzy baony pułku „Sarny” (bez jednej kompanii) rozwinięte były na skraju lasu na wschód od Wólki Wytuckiej frontem na południe. Wólka Wytuczna nie była zajęta przez nikogo; kierunek ten dozorowany był przez oddział saperów z jednym erkaemem. Baon „Polesie”, który w marszu pozostał daleko w tyle, podszedł pod Wytuczno i leżał rozwinięty. Taborę zebrane w lasku na pld. od miejscowości Lipniak (9 km od zachodniego skraju wsi Wytuczno) pod osłoną części szwadronu; jedna kompania strzelecka w odwodzie. Miejsce postoju d-twa grupy: Wytuczno (dom ppor. rez. Józefa Klauudy, wójta gminy zbiorowej Urszulina). Łączność d-twa grupy z pułkiem „Sarny” — jedna linia telefoniczna, z baonem „Polesie” — radio.

Między godz. 8 a 9 rano baon „Polesie” dostał przez radio rozkaz uderzenia w kierunku pld. zach. na prawe skrzydło atakującego nieprzyjaciela. Rozkaz ten został odebrany, ale natar-



Cmentarz żołnierzy KOP w Wytucznie (w trakcie budowy)
Fot. Waldemar Stępień

cie nie ruszyło. Ok. godz. 10 d-ca grupy otrzymała wiadomość przyniesioną przez dwu żołnierzy baonu „Polesie” (w tym jeden oficer rezerwy), że ppłk J. Dyszkiewicz i ppłk J. Jur próbowali poderwać baon do natarcia, ale ruszyła z nimi tylko garstka żołnierzy. Poszczególne grupki żołnierzy koło domów Wytyczna zaczęły się poddawać.

W tym też czasie d-ca pulku „Sarny” ppłk N. Sulik zameldował d-ty grupy, że obrona absolutnie do wieczora nie wytrzyma. Żołnierze są wyczerpani, brak amunicji, zredukowane stany oddziałów; obawia się, czy potrafią odeprzeć jeszcze jeden zdecydowany atak.

O wpół do jedenastej d-ca grupy zwołał na odprawę d-ców i wyższych oficerów będących na miejscu. W odprawie wzięli udział: płk L. Bitner — z-ca d-ty grupy, ppłk N. Sulik — d-ca pulku „Sarny”, mjr S. Czerniak — d-ca artylerii, mjr L. Gawroński — szef sztabu grupy, mjr Marcinkiewicz — z sztabu d-ty grupy. Wszyscy zgodnie ocenili, że obrona w każdej chwili może się załamać (co już się stało z baonem „Polesie”), istnieje groźba oskrzydlenia z kierunku zachodniego, artyleria nie ma amunicji, żołnierze są wyczerpani fizycznie i moralnie. Ponieważ grupa znajduje się już na terenach o etnicznej polskiej przewadze, i rozproszonym żołnierzom nie będzie grozić niebezpieczeństwo ze strony ludności i niewola, postanowiono oderwać się od nieprzyjaciela i rozproszyć się dla ratowania żołnierzy. O godz. 11 d-ca grupy wydał w tej sprawie rozkazy.

Postanowiono o godz. 12 zakończyć walkę i oderwać się pod przykryciem lasów od nieprzyjaciela do lasów na południe od Sosnowicy, skąd oddziały rozjeżdżą się i rozproszą w różnych kierunkach. Tam ma być też zniszczona broń i nastąpi pożegnania się z dowódcami. Artyleria, po oddaniu ostatnich strzałów, zniszczy działa i zjedzie ze stanowisk. Sztab grupy przesuwa się do lasów na pld. od Parczewa i tam d-ca grupy spotka się z oficerami dla omówienia dalszych zadań.

Przerwanie walki, odsłok i rozproszenie zostały przeprowadzone. D-ca i sztab grupy nie wzięli udziału w likwidacji grupy i pożegnaniu z rozchodzącymi się żołnierzami (udali się bezpośrednio do lasów parczewskich). Nie przygotowano ostatniego pożegnania rozkazy.

D-ca i żołnierze jednej kompanii z pulku „Sarny” (które? pod czym dowództwem?) postanowili z bronią pójść na północ do oddziału gen. Kleeberga. Podobno z kompanią tą udała się na północ również grupa oficerów (którzy? jakie były dalsze losy kompanii i grupy oficerów?). Stawiam pytania, licząc, iż żyją jeszcze ludzie, którzy mogą na nie udzielić odpowiedzi.

OKOŁO godz. 16 w lasach na pld. od Parczewa zebrało się około 30 oficerów ze sztabu grupy, pulku „Sarny” i artylerii grupy. Postanowiono utworzyć podziemną organizację: wojskową, którą określono jako Tajny KOP. Na jej potrzeby przeznaczono posiadaną w kasie grupy gotówkę (ok. 1 mln zł), która miała być początkowo ukryta w Lubartowie (u kogo?), a następnie przekazana do Warszawy do dyspozycji utworzonej organizacji. Takie były rzeczywiste początki Komendy (Konpusu) Obrońców Polski — jednej z pierwszych organizacji wojskowych na terenach okupowanej przez dwu najeźdźców Polski: Pierwszy d-ca tej organizacji, zamordowany przez Niemców mjr Bolesław Studziński, spoczywa na lubelskim cmentarzu przy ul. Lipowej.

D-ca grupy i zgromadzeni oficerowie przenieśli się do lasów na zachód od Ostrowa Lubelskiego i stamtąd wieczorem indywidualnie rozproszyli się. Większości udało się szczęśliwie dotrzeć do miejsc zamieszkania. A tymczasem pod Wytyczną i Wolą Wytyczką dogorywali ranni żołnierze KOP i szli do niewoli zdrowi. Dostała się do niewoli znaczna liczba żołnierzy i podoficerów baonu „Polesie”. Z grupy wojsk KOP, dowodzonej przez gen. W. Orlika-Bückemanna, oficerowie prawie wcale nie trafili do niewoli sowieckiej. Świadczy to — z jednej strony — o doskonałej ich wiedzy o realiach ZSRR (porównać wystarczy z losami oficerów grupy płka Zieleniewskiego), ale z drugiej — o pozostawieniu dowodzonych przez nich żołnierzy własnemu losowi.

WOJSKA radzieckie weszły do położonych na wschód od Wólki Wytyckiej lasów, zajętych przez południem przez wojska KOP, dopiero po dwu godzinach od zaprzestania ostrzału artyleryjskiego przez Polaków. Między godz. 15 a 16 nad terenem walki i terenami przemieszania się grupy wojsk KOP, aż po Sosnowicę, krążyło kilka rosyjskich samolotów. Po zorientowaniu się, że oddziały WP opuściły dotychczasowe stanowiska, nakazano miejscowej ludności zebrać z pól i lasów poległych i rannych i pozwoić ich na plac przed Domem Ludowym. Rannych polecono wnieść do Domu Ludowego, gdzie zostali zamknięci bez udzielenia im jakiegokolwiek pomocy. Aby nikt nie usiłował wydostać się z budynku lub udzielać z zewnątrz pomocy rannym, pozamykano okiennice. Dopiero w poniedziałek, 2 października, przyjechała od Włodywy sowiecka kolumna sanitarna, niby w celu udzielenia rannym pomocy medycznej. Oczywiście większość rannych zmarła do tego czasu z upływu krwi.

Poległych i zmarłych żołnierzy polskich odarto z mundurów i obuwia. „Zdobycza” dzieliłi się żołnierze sowieccy i miejscowi Ukraińcy. Z wyjętych z mundurów dokumentów i posiadanych przez żołnierzy pamiątek (fotografie, listy) ułożono stos i podpalamo. Uniemożliwiono w ten sposób ewentualną identyfikację poległych, zmarłych i zamordowanych. W akcji rozbięcia zwłok i niszczenia papierów uczestniczyli też Ukraińcy, a wyróżniał się wśród nich gorliwością miejscowy Paweł Dyksa.

Rozebrane do bielizny zwłoki żołnierzy pochowano w rogu (lub obok — istnieją różne relacje; wersja „obok” bardziej prawdopodobna) cmentarza prawosławnego w Wytycznej, położonego naprzeciwko młyna, przy drodze prowadzącej do Nowin. Pochowano tam w trzech grobach około stu poległych, zmarłych i zamordowanych. Zwłokę trzech poległych wyznania Mojżeszowego Żydzi zabrali i pochowali na kirkucie we Włodywie. Wszyscy pochowani w Wytycznej byli chrześcijanami, w zdecydowanej większości wyznania rzymskokatolickiego i być może nieliczni — protestanckiego. W jednostkach KOP Ukraińcy i Białorusini nie służyli, nie było więc wśród pogrzebanych grekokatolików i prawosławnych.

Ze względu na zniszczenie dokumentów poległych i zamordowanych, znane są (dzięki relacji J. Klauudy) tylko dwa nazwiska pochowanych na cmentarzu żołnierzy. Są nimi szer. Stanisław Sykut i szer. (?) Władysław Matusiuk (ten ostatni pochodzący podobno z Pruszkowa). Trzeci o znanym nazwisku — szer. Leonard Bogudziński był pochowany (z dwoma innymi o nieznanych nazwiskach) w przydrożnym rowie obok zabudowań dworskich w Wytycznej. Być może, przy pomocy żyjących jeszcze, nielicznych uczestników walk w Wytycznej, uda się rozszerzyć tragiczną listę, zapelnąć jeszcze jedną „białą plamę” naszej lokalnej, lubelskiej historii.

Czerwononamiści i miejscowi Ukraińcy dokuczali wziętym do niewoli żołnierzom, znęcali się nad rannymi, mszcząc się za straty poniesione przez Armię Czerwoną w ludziach i sprzęcie. Podobno wśród wielu poległych pod Wytyczną był jakiś „komandir polka”. Wielkość strat rosyjskich nie została jednak rozeznaną przez miejscową ludność (w relacjach brak na ten temat informacji), jednakże wiedząc, iż atakujący ponoszą z reguły większe straty od broniących się, można sądzić, że były one duże. Miejsce pogrzebania poległych czerwononamistów dotychczas nie jest znane.

W następnym numerze: Ku węgierskiej granicy — walki grupy płk. Zieleniewskiego w okolicach Janowa Lubelskiego oraz lista oficerów z tej grupy, ofiar Katynia, Kozielska i Starobielska.

(Koniec odc. 3. — cnd.)

PS. W pięćdziesiątą rocznicę bitwy w Wytycznej, 1 października br. o godzinie 11, odbędzie się na tamtejszym cmentarzu poległych i zamordowanych żołnierzy, uroczystości patriotyczno-religijne związane z usypianiem tam Kopca Żołnierskiej Chwały dla uczczenia pamięci bohaterów żołnierzy Konpusu Ochrony Pogranicza, walczących w obronie Ojczyzny w 1939 r.

LISTY - POLEMIKI

„General Mieczysław M.
Smorawiński
(1893—1940)”

W czerwcu i lipcu bieżącego roku ukazała się na łamach „Relacji” (nr 22—24/89) trzydziestokrotna publikacja na temat mego śp. Ojca, generała Mieczysława Smorawińskiego. Autor, redaktor Leszek Wiśniewski, zanim zasiadł do pisania, miał za sobą rozmowy ze mną, następnie — jak się domyślam — żmudne poszukiwania po bibliotekach i wiele rozmów z ludźmi, świadkami dawnych dni, którzy spotkali kiedyś generała. Rezultatem stał się obszerny biogram Mieczysława Smorawińskiego, ukazany na zarysowanym tle aktualnych wydarzeń i znakomicie przybliżony cytowanymi wspomnieniami współtowarzyszy broni, znajomych, czy też informacjami prasowymi z minionych lat.

Kiedy, powróciwszy z wakacyjnego wyjazdu, przeczytałem publikację, uderzyło mnie, choć przecież curriculum vitae Ojca jest mi znane, jak bardzo Jego czterdziesto- sześciolletnie życie nalożone było działaniem, wflu wydarzeniach, jako dziecko swej epoki, brał udział.

Jest rzeczą naturalną, że przy tak obszernym materiale i nasyceniu go szczegółami, nie udało się uniknąć pewnych nieścisłości. Ponieważ nie mieszkam w Lublinie i podczas przygotowywania publikacji przebywałem poza domem, mogłem autorzyć jedynie część tekstu. Korzystałem więc teraz z okazji, by wymienić istotniejsze z nieścisłości celem sprostowania.

Mieczysław Smorawiński został mianowany generałem brygady w kilka dni po ukończeniu trzydziestego czwartego roku życia (a nie, jak wymieniono, „mając trzydzieści pięć lat”).

Nie można zgodzić się ze sformulowaniem, że szkoły kaliskie były pod wpływem Narodowej Demokracji. Działały tam organizacje skautowskie oraz zarzewieckie. „Zarzewie” powstało w drodze rozłamów ugrupowań młodzieżowych, z których część wprawdzie pozostała pod wpływem Narodowej Demokracji, ale program „Zarzewia” był niepodległościowy.

Józef Haller nie był w okresie walk w Karpatach dowódcą II Brygady Legionów Polskich. Zajmował stanowisko dcy 3 pp Leg. Mieczysław Smorawiński nigdy pod jego bezpośrednim dowództwem nie służył.

Przytoczona opinia Mariana Januszajtisa o Ojcu (wydana w 1915 roku) uzasadnia wniosek o awans, a nie nadanie Mu Krzyża Walecznych. Krzyż ten ustanowiony został w roku 1920 i choć honorowano nim czynny męstwa żołnierzy walczących w formacjach 1-szej wojny światowej, a więc również i Legionów Polskich, oraz poprzednich (powstańczych), odbywało się to po roku 1920, tj. wstecz.

Marian Januszajtis nie był dca Polskiej Siły Zbrojnej (pełnił funkcję inspektora wyszkolenia wojskowego).

Historyk znalazłby więcej podobnych szczegółów niezgodnych z rzeczywistością okresu obu wojen światowych. Jak bardzo rzeczywistość ta była skomplikowana i niejednoznaczna w świetle zachowanych przekazów, miałem okazję przekonać się po zapoznaniu się z źródłowym materiałem w postaci kserokopii dziennika gen. bryg. Juliusza Kleeberga (Instytut gen. W. Sikorskiego, kol. 163), jaką ostatnio otrzymałem. Szczególnie interesująca jest część dziennika odnosząca się do dnia 17 września 1939 roku. Treść jej podaje niżej w skrócie:

Gen. Kleeberg przyjechał z Równego przez Dubrówkę do Łucka. Przybywszy dnia 17-go po południu, jest świadkiem ważnej rozmowy między generałami Smorawińskim i Sawickim, dca grupy „Włodzimierz”. Tematem narady było zalecone przez gen. Smorawińskiego przejście garnizonu Łucka (dca gen. Skuratowicz, który wkrótce wyruszył) i Włodzimierza Wołyńskiego na południe. Gen. Sawicki oponował, wysuwał myśl rozpuszczenia ludzi i

maszerowania tylko z ochotnikami lub pozostanie we Włodzimierzu i przyjęcie tam obrony. Maneurować pod żadnym pozorem nie chciał (kuchni nie ma i inne powody). Gen. Kleeberg w swej sprawie poprosił o zwolnienie go ze stanowiska zcy dowódcy OK II, by „szukać dla siebie jakiegoś dowództwa”, na co gen. Smorawiński niechętnie przystaje. Wtedy gen. Kleeberg udał się do Stanisławowa i po zabraniu swej rodziny przekracza południową granicę państwa.

Tak więc konferencja, jaka odbyła się w nocy 17/18 września we Włodzimierzu Woł., przebiegała bez udziału gen. Kleeberga; brało w niej udział obok dcy OK II dwóch tylko generałów (a nie trzech, jak wydrukowano i jak ja również sądziłem).

Warto tu zauważyć, że gen. Sawicki w swej relacji, napisanej w 1949 roku, twierdzi, że to on właśnie chciał maszerować ze swą grupą na południe, a generał Smorawiński był tym, który mu na to nie pozwolił i przejął dowództwo nad jego jednostką.

Jest oczywiście, że tylko jedna z tych dwóch relacji (tj. gen. Kleeberga lub gen. Sawickiego) może być zgodna z prawdziwym przebiegiem wypadków. Która?

Gen. Kleeberg nie był zainteresowany w nieobiektywnym przedstawianiu faktów. Inaczej ma się sprawa z gen. Sawickim, był on bowiem dowódcą operacyjnym (jednoznacznie stwierdzają to autorzy „Polskich Sił Zbrojnych”, T. I, cz. 4, s. 459), i wyjeżdżając do Rumunii, pozostawił swą jednostkę i opuścił posterunek wyznaczony mu przez Naczelne Dowództwo.

Jakie otrzymał zadanie jako dca grupy „Włodzimierz”, pisze o tym sam: „Ja z załogą mam się bronić na zajmowanym odcinku nie dłużej jak jeden lub dwa dni (dotyczy nocy 13/14 września oraz miasta Włodzimierza Woł. — J. S.). Następnie mam starać się przerzucić swoje oddziały drobnymi grupami lub nawet pojedynczo przez Tarnopol i Stryków (w przewidywaniu, że Lwów może być już również odcięty) do rejonu Stanisławowa — Kołomyja” (PSZ, T. I, cz. 3, s. 560).

Można się jedynie zastanawiać, dlaczego Sawicki, pomimo jednoznacznego rozkazu Naczelnego Dowództwa, nie rozpoczął nakazanego przetrwania swych oddziałów na południe w wyznaczonym terminie; nie było natomiast żadnego powodu, dla którego miałby swą jednostkę podporządkowywać dcy OK II (jednostki terytorialnej).

Tak więc relację gen. Sawickiego należy traktować jako próbę (w świetle sprawozdania gen. Kleeberga nieudaną) udowodnienia, że „nie mógł” dowodzić jednostką zgodnie z rozkazem ND, bo uniemożliwił mu to gen. Smorawiński.

Ale są to zagadnienia specjalistyczne, kwalifikujące się do szczegółowego rozważenia przez historyków wojskowości. Publikacja zamieszczona w „Relacjach” obejmuje cały okres życia generała Smorawińskiego i nie może, a nawet nie powinna (przynajmniej bez szkody dla całości) docierać do zajmujących wiele miejsca szczegółów. Istotne jest natomiast, że postać Generała, po drugiej wojnie pomijana milczeniem, ukazana została żywo na łamach Waszego Tygodnika, że ma własne, indywidualne rysy. Zdaniem moich znajomych (moje może być subiektywne), jeśli chodzi o formę i ogólnie wrażenie publikacji, to została ona napisana z tzw. reporterskim „lwim pazurem” wytrawnego dziennikarza. To dzięki temu postać Mieczysława Smorawińskiego wypadła barwnie na szpaltach „Relacji” i żyje własnym życiem.

W Lublinie mieszkalem przez ponad 10 lat. Były to ważne lata; lata dzieciństwa i wczesnej młodości, przypadające nadto na czas wojny i okupacji. Dlatego jestem z tym miastem do dziś związany i ilekroć tam przyjeżdżam, czuję się na nowo lublinianinem. Miło mi, że właśnie w Lublinie pojawiła się ta publikacja.

Dziękując za trud i inicjatywę Redakcji i Autora zamieszczenia obszernego materiału, wdzięczny będę za nadesłanie mi ewentualnie otrzymanych przez Redakcję uwag i wypowiedzi nawiązujących do treści publikacji.

Jerzy Smorawiński
Kraków

„Jestem przekonany, że historia zupełnie inaczej oceni tandem Jaruzelski-Rakowski niż dziś to czynią Polacy..”

— W Nowym Jorku mieszka pan na Piątej Alei opodal Parku Centralnego. W Warszawie — też dobry adres, bo ulica Idzikowskiego, w sąsiedztwie prezydenta Jaruzelskiego i rezydencji ambasadora USA, Davisa. Pokazuje pana notorycznie telewizja. Telefon dzwoni bez przerwy z różnych stron świata. Niesie pana wysooka fala. Ale z drugiej strony, nie jest to w Polsce aż tak trudne dla milionera z Ameryki.

— Po pierwsze, jestem warszawianinem. Tu się urodziłem, mieszkałem i mieszkałbym do dziś, gdyby nie obłąkańcze koncepcje Hitlera. Nic dziwnego, że Warszawę odbieram jako moją ojczyznę. Po drugie, od z górą trzydziestu lat prowadzę z Polską interesy handlowe i nie znam nikogo, kto by narzekał na nie tu, nad Wisłą. Po trzecie, uważam, że istnieje bardzo korzystna sytuacja do poważniejszego zainteresowania się Polską. Jeżeli zatem moja aktywność jest widoczna, to ma ona głębsze podłoże.

— Przypuszczam, że ma pan zupełnie inne doświadczenie w kontaktach z Polską niż wielu amerykańskich biznesmenów. Zna pan kraj, realia, język. Jest pan w domu. Nie dziwi pana nic. Choćby dolar po dwanaście i pół tysiąca. Tu również nakręcił pan film fabularny oparty na swojej biografii i książce „Survival”, emitowany pod tytułem „Wojna i miłość” również w TVP. Różni się pan od ludzi interesu, którzy wpadają do Polski na krótko i oczekują robienia szybkich biznesów, korzystnych transakcji...

— Ależ, proszę pana, ja właśnie bardzo chcę, żeby do Polski wpadali na dwa — trzy dni biznesmeni i robili tu interesy. Tak jest w całym świecie. Jeżeli poważny przemysłowiec czy handlowiec rusza się z 5th Avenue czy Madison Avenue na dwa tygodnie, to on chce odwiedzić pięć — sześć krajów, zawrzeć maksymalnie dużo korzystnych transakcji, coś zobaczyć i jeszcze się zrelaksować. Takie jest tempo tego zawodu. Tak się pracuje na świecie. Tymczasem w Polsce, żeby coś załatwić, trzeba tygodni. Trzeba chodzenia po urzędach, spotykania się z wieloma ludźmi, przekonywania ich do interesu. Podczas gdy to oni właśnie powinni przekonywać, że do Polski opłaca się przyjeżdżać. To, że ja znam polskie realia, może być przydatne tylko o tyle, o ile ta wiedza może przynieść jakieś zmiany nad Wisłą, a nie nad Hudsonem. Bo tam, niech mi pan wierzy, nikt się nie potrzebuje zmieniać! Zmiany są potrzebne tu!

— Czy takie zmiany pan dostrzega?

— Tak. Widzę poważne zmiany na lepsze. Ostatnie dziewięć-dziesięć miesięcy przyniosły przeobrażenia systemowe, pozwalające na poważne angażowanie się kapitałowe i inwestycyjne w Polskę, czego nie było do tej pory. Dotąd prowadziłem z Polską wyłącznie handel: eksport, import. O inwestowaniu nie myślałem, bo nie było pewności, czy się wyłożonych pieniędzy nie straci w wyniku jakichś machinacji biurokratycznych. Teraz takie szanse widzę i dlatego postanowiłem się zaangażować. Ekipa Rakowskiego, jakkolwiek by ją oceniać tu, w Polsce — na Zachodzie stała się wiarygodna, jeżeli idzie o stworzenie możliwości dla obcego kapitału. To jest fakt nie podlegający dyskusji.

— Jak zamierza się pan zaangażować w Polskę?

— Tak, jak się znam, i w to, na czym się znam. Od 35 lat zajmuję się konstrukcją i budową biurów i hoteli oraz centrów ekspozycyjno-handlowych. Postanowiłem więc zorganizować centrum eksportowo-handlowe w Wilanowie, które byłoby w stanie zaprezentować maksymalnie dużą ofertę dla zachodnich kontrahentów. Są w Polsce tysiące małych producentów, którzy mają coś do zaoferowania, a nie mają pojęcia o handlu. Szansa, że biznesmen z Zachodu zetknie się z nimi, jest niewielka. Stąd idea centrum.

Na 75 hektarach zlokalizowane byłyby ekspozycje branżowe przemysłu lekkiego oraz ulokowany hotel pięciogwiazdkowy, pola golfowe, korty, baseny, gabinety odnowy biologicznej, kasyno gry, shopping center z dwudziestoma sklepami najlepszych firm europejskich itd. Są to niezbędne rzeczy do prowadzenia dzisiaj skutecznego handlu. Polska handluje dotąd metodami lat pięćdziesiątych, zupełnie nieskutecznymi na Zachodzie. Nie da się zainteresować świata jedynie tar-

gami poznańskimi. Potrzeba miejsca, gdzie biznesmeni byłiby obecni przez cały rok i przez cały rok mieli ofertę.

Na Zachodzie nie ma już wielkich importerów, którzy sprowadzają z jakiegoś kraju wszystko, co się da, i oferują detalistom. Handel międzynarodowy jest, handlem producenta i detalisty. Bez pośrednictwa jakichś dynozaurów-importerów, central handlowych. To już dawno nie ma racji bytu! Żaden dom towarowy nie będzie sobie zwracał głowy pertraktacjami z polskimi centralami. On jest zainteresowany szybko dogadać się z producentem i mieć towar w ciągu tygodnia. Gdzie jednak on ma możliwość zetknięcia się z producentem face to face? Nikt, naprawdę nikt, nie przyjeżdża do Polski, jak nie będzie miał tego, co oferują mu inne kraje: szerokiej oferty, wygody, luksusu, sprawnej obsługi. Robienie interesów musi być przyjemnością, a nie udręką, tak jak w Polsce. Biznesmeni nie zmieniają się z powodu Polski, to ona musi się zmienić.

— Rano śniadanko w apartamencie, w południe interesy, a potem golf i

— Proszę pana, ja jestem poważnym biznesmenem. Czy pan myśli, że ktoś by mi powierzył 65 milionów na budowę wytwórni lodu na Grenlandii? Czy może ja wyglądam na takiego, który wyłoży swoje miliony na — powiedzmy — budowę fabryki kozuchów na Saharze?

— Raczej nie... Chodzą słuchy, że zakłada pan także giełdę w Warszawie.

— Otrzymałem pozwolenie na uruchomienie, na zasadach joint venture, pierwszego w Polsce biura obrotu papierami wartościowymi. Na razie będą to papiery wartościowe zachodnich firm, ale z czasem — mam nadzieję — dojdzie do normalnej emisji papierów wartościowych (akcji, obligacji) przez polskie przedsiębiorstwa i firmy. Wówczas będzie można mówić o rynku tych papierów. W jakimś sensie można by to uznać za początek giełdy.

— Kto się tym będzie zajmował? Przecież nie ma w Polsce specjalistów z tej dziedziny, a wątpię, aby ktokolwiek z Zachodu chciał się „wpuszczać” w ten interes w Polsce.

— To prawda. Inwestujemy w kilku młodych, zdolnych ludzi i posyłamy

dwóch bliźniaczych wieżowców z pełną infrastrukturą do robienia biznesu, jak też rekreacji. Byłyby ze sobą połączone i tworzyły jeden kompleks, tak jak słynne nowojorskie „bliźniaki”. Koszt przewidywany — 240 milionów, z czego 70 mln. uzyskalibyśmy od osób prywatnych. Myślę, że dla tej idei znajdziemy wiele zrozumienia w całej Europie.

— Daruje pan, ale takie wieżowce stoją w Moskwie i mają podobne przeznaczenie. To się nazywa RWPG...

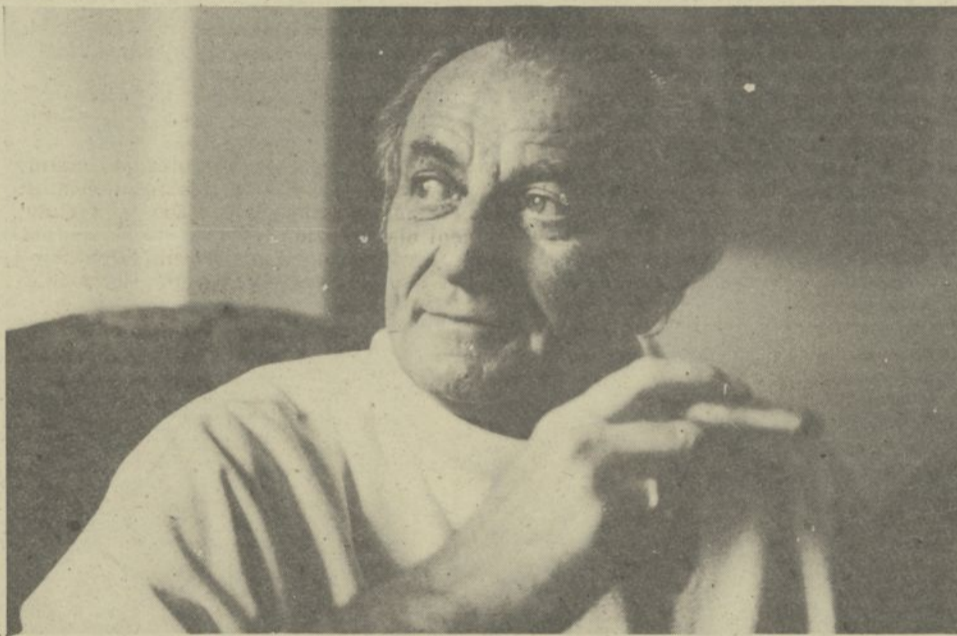
— Jest taka organizacja. — Z „Poltelem” i studiem Walta Disneya też pan chce robić jakieś interesy...

— No cóż, nie znam drugiego takiego kraju poza USA, gdzie bohaterowie Disneya byłiby tak popularni, jak w Polsce. Mam na to wytłumaczenie. Skład psychiczny Polaków i Amerykanów jest bardzo podobny. Wracając do rzeczy, istotnie myślimy o poważnej kooperacji. Nie tylko filmowej, ale także jeżeli idzie o wykorzystanie znaków graficznych Disneya, jakimi są m. in. postacie Mickey Mouse i Donald Duck w produkcji przemysłowej, np. w przemyśle odzieżowym. Mamy na to zgodę i wyłączność.

— Panie Elsner, słucham tego wszystkiego i ciekawie mi się na usta pytanie: czy pan, naprawdę, nie zgłupiał

WIDOK Z MANHATTANU

Rozmowa z Jackiem Elsnerem, amerykańskim biznesmenem



Fot. Waldemar Piasecki

kolacja w miłym towarzystwie. Następnie wylot nazajutrz do Ulan-Bator, gdzie czekają ze swoją ofertą.

— Powiedzmy, że do Moskwy... Polska może być ważnym etapem w cyrkulacji biznesu pomiędzy Zachodem a ZSRR. Jest to także jedna z ról przewidywanych dla wilanowskiego centrum.

— Kto i za co wybuduje centrum?

— Ogólny koszt zamknie się w kwocie 110 milionów dolarów. Z zagranicy wpłynie około 65 milionów i to już mam zabezpieczone. Pozostałą część, a w każdym razie około 35 milionów, będzie pochodzić od prywatnych obywateli, którzy tak naprawdę mają dość trzymania dolarów w siennikach i chcieliby je zainwestować w jakiś pewny interes. Już teraz mamy zarejestrowanych 2200 osób, które gotowe są wykupić akcje centrum zarówno w dolarach, jak i złotychkach (w odpowiedniej relacji). Będzie to typowa spółka akcyjna. Chcę też powiedzieć, że Warszawa, która przekazała nam te 75 hektarów w użytkowanie wieczyste, otrzyma 20 procent akcji.

— Spytam może naiwnie. Co będą mieli prywatni ludzie z tego, że wylotą dolary na budowę luksusowego obiektu w znakomitym punkcie stołecznej aglomeracji?

— Tak, jak na całym świecie — dywidendy. Poza tym będzie można obracać akcjami. Będziemy także przestrzegać zasady, żeby około 29 procent akcji było dostępnych w wolnej sprzedaży, bo to nakręca koniunkturę.

— I pan myśli, że to całe zamierzenie się uda?

ich po naukę do Nowego Jorku. Zapewniłem pana, że pojedą tacy, którzy w szybkim czasie pojmą, o co chodzi w tym biznesie...

— Konkludując, można powiedzieć, że bierze się pan do organizowania pierwszej giełdy w krajach socjalistycznych.

— Jest w tym część prawdy. Wiem jednak, że podobne zamiary są na Węgrzech. Giełda jest niezbędnym czynnikiem demokracji stosunków ekonomicznych, i to trzeba rozumieć.

— Nie jest to jednak koniec pańskich zainteresowań.

— Jestem również zaangażowany w dzierżawienie polskich zakładów pracy znajdujących się w bardzo trudnej sytuacji — partnerom zachodnim, gotowym zainwestować w modernizację, rozwój nowej produkcji itd. Zaznaczam, że chodzi tu o dzierżawę, a nie wykupywanie przedsiębiorstw.

— Jakże z tego zyski?

— Ludzie będą mieli pracę (i to dobrze opłacaną), zakład się zmodernizuje, unowocześni, część produkcji pójdzie za granicę. Naturalnie zyska także partner zachodni, mając produkcję na wysokim poziomie blisko swego rynku działania, a nie gdzieś w Malceji czy na Filipinach. Kilka zakładów już zostało wydzierżawionych.

— Nie pan nie mówi o warszawskim World Trade Center. To jest chyba największy pański „numer”?

— Jest to nieco dalszy projekt, ale istotnie marzy mi się stworzenie w Warszawie centrum biznesu Europy Wschodniej, do czego i stolica, i Polska mają wszelkie dane. Zamierzeniem jest postawienie w centrum miasta

na stare lata (jeżeli można mówić o starości, gdy się ma 65 lat, gra w tenisa, golfa, pływa i biega)? Przecież pan angażuje swoją pozycję znanego biznesmena w interes mocno niepewny. Jakże są racjonalne przesłanki pańskich działań?

— Czy pan żyje na Księżycu i nie widzi, co się dzieje w Polsce? Przecież tu się dzieją rzeczy, o których będzie pisać historia jako o przełomie. Dokonują się przemiany polityczne i ekonomiczne, które za dziesięć lat powinny postawić Polskę mocno na własnych nogach. Co najważniejsze: te rewolucyjne zmiany dokonują się z udziałem i dobrą wolą polityków tej miary co Jaruzelski i Rakowski, którzy niewątpliwie przejdą do historii, jako ludzie wyobraźni i patriotów. Jestem przekonany, że historia zupełnie inaczej oceni tandem Jaruzelski — Rakowski, niż dziś to czynią Polacy. W marginesie swobody, zakreślonym przez „pierestrojkę” Gorbaczowa, wykorzystali wszystkie możliwości manewru, balansując niekiedy na krawędzi. To czasami lepiej widać z Manhattanu niż z — powiedzmy — Zoliborza. I to nie jest jakiś mój osobliwy pogląd, a zdanie bardzo dużej części kręgów zachodniego przemysłu, biznesu i polityki.

Skoro więc także mam poglądy, a czuję się związany z Polską, bo stąd jestem, nie powinno dziwić, że się angażuję.

— Takich Elsnerów nie jest jednak zbyt wielu...

— Na razie...

— Jaka jest pańska najkrótsza recepta gospodarcza dla Polski, bo polityczną ma każdy Polak własną?

— Polsce potrzeba powrotu na jakiś czas dziesięciu tysięcy ludzi odnoszących sukcesy w różnych dziedzinach na Zachodzie. Trzeba wpuścić ich do kraju z ich kapitałem, pomysłami, ich agresją i umiejętnościami. Niech tu robią interesy, niech się bogacą! Ale przy tej okazji przestawia także gospodarkę na inne tory. Takie, które w pewnym momencie nie rozchodzą się na boki, albo po prostu nie kończą gdzieś w polu.

Chciałbym również dodać, że sytuacja w Polsce przypomina mi nieco sytuację lat powojennych w RFN, która z ruinacji i dewastacji podniosła się do działania. Nie jest całą prawdą, że cud, jaki się tam dokonał, był ufundowany przez Amerykę i jej dolary. Decydowała przedsiębiorczość, inicjatywa i wola działania. No i zdrowe reguły gry! Bez tych cech nie pomogą nawet największe pieniądze pompowane z Zachodu, czego akurat my, Polacy, nie musimy sobie tłumaczyć.

— Dziękuję.

— Nie ma za co...

Rozmawiał: Waldemar Piasecki

Bywają i takie poglądy...

MICHAEL, CZYLI KONIEC AMERYKI

Michael jest mężczyzną w średnim wieku. Ma miłą powierzchowność, łatwo nawiązuje kontakt, często się uśmiecha. Posługuje się czystym, eleganckim angielskim, pozbawionym regionalnych naleciałości. Przyjechał do Polski na wakacje. Jest to dla niego powrót do źródeł. Jeden jego dziadek urodził się w Polsce, drugi natomiast w Niemczech. Michael jest Amerykaninem. Na amerykańskim uniwersytecie ukończył nauki polityczne. Studiował też w RFN i w Szwecji.

Najpierw kandydował do władz stanowych, a potem sześć razy do Kongresu USA. Dwa razy wygrał prawyborcy, by potem w wyborach generalnych zdobyć 32 proc., a potem 40 proc. głosów. To był jego największy sukces, jednak aby wygrać, potrzeba było 50 proc. Większość wyborców nie podzielała jego poglądów na świat.

Przez pewien czas uczył angielskiego w RFN. Obecnie jest taksówkarzem w Washington D.C., mieście, gdzie co drugi klient jest politykiem. W tej rozmowie prosił o zachowanie incognito.

— Jak wygląda dzisiejsza Ameryka?

— W Kalifornii, gdzie powstaje większość nowości, wymyślono złowrogą zabawę: ludzie wyjeżdżają na autostradę z nabitą bronią i strzelają do przypadkowych ludzi, którzy jadą obok nich sąsiednim pasem. To szaleństwo rozpowszechnia się z Zachodniego Wybrzeża w głąb kraju. Bogatsi ludzie omijają autostrady.

Przestępczość, zwłaszcza wśród Czarnych, AIDS, narkomania, rozluźnienie moralności, 50 rozwodów na 100 małżeństw.

Amerykańska rodzina rozpada się. Wiele dzieci ucieka z domów, inne są porwane, około 50 tys. dzieci znika rocznie bez śladu.

Sytuacja gospodarcza drastycznie zmieniła się przez ostatnie 25 lat. Ameryka z największego wierzyciela świata stała się dziś największym dłużnikiem. Wiele przemysłów, jak samochodowy, jest w stadium upadku. Produkty napływają z krajów niżej rozwiniętych, z Europy, z Japonii. Używa się sloganu, że Ameryka staje się krajem konsumpcji, krajem usług i dlatego wiele produktów robi się gdzie indziej. Jednak oznacza to, że w Stanach nie będzie bazy przemysłowej i kraj ten będzie zależny od innych. Japończycy, dysponujący nadwyżka-

mi, wykupują amerykańską ziemię i domy.

Ameryka jest upadającym imperium. Zadnemu Polakowi nie podsuwałbym myśli o osiedleniu się tam na stałe. Nigdy nie myślcie o porzuceniu swego polskiego obywatelstwa. Będziecie przeklinać dzień wyjazdu.

Każdy myśli o Ameryce jako o kraju wolności i swobody, ale kryje się w tym paradoks — wielokrotnie jest tak, że najsilniejszy atut jest jednocześnie najsłabszym punktem. Wolności jest za dużo, jest to wolność robienia wszystkiego. Z powodu tej wolności i braku silnych struktur moralnych Ameryka upadnie.

— Słyszałam, że ludzie przygotowują się do upadku Ameryki. Jak to wygląda?

— To prawda. W Ameryce tworzą się teraz tzw. organizacje przeżycia. Ci ludzie zabezpieczają broń, amunicję, zapasy odzieży i żywności, a także inne rzeczy niezbędnych do życia, by w przypadku poważnego ekonomicznego i społecznego kryzysu mogli przeżyć. Wielu ludzi, zwłaszcza Białych, przenosi się z największych miast, ponieważ jest tam bardzo niebezpiecznie.

Powinno się dodać też, że następuje przemieszczanie się Białych do północno-zachodnich stanów Ameryki, do

Oregon, Waszyngton, Idaho, Montana, Wyoming, gdzie jest bardzo mało Czarnych, Latynosów i Azjatów. Ci ludzie sądzą, że USA rozpadnie się jako całość polityczna na mniejsze kraje.

— A jaki był program twojej działalności politycznej?

— Interesowała mnie ochrona praw ludzi pochodzenia europejskiego.

Przykładowo, Żydzi w Ameryce są bardzo dobrze zorganizowani politycznie. Mają wiele organizacji, które bronią ich praw. To samo dotyczy czarnych obywateli, których jest w Ameryce 30 milionów. Mają oni swoją reprezentację polityczną. Kiedy oni mówią, mówią tylko w swoim imieniu, a nie w imieniu Euroamerykanów. Nie mówię, że to jest źle, tylko że to jest fakt. Mamy również 17 milionów mniejszości latynoskiej, która też jest zorganizowana. Każda z tych grup ma odmienne interesy.

— A co sądzisz o Ku-Klux Klanie? Czy to jest organizacja polityczna?

— Nie, Klan nie jest organizacją polityczną. Opiera się na zasadach braterstwa. Klan jest krytycznie nastawiony wobec Czarnych i Żydów w Ameryce. Główną przyczyną powstania Klanu była ochrona tradycji i wartości Białych na Południu po wojnie secesyjnej. Po tej wojnie Czarni dostali wiele praw, ale stało się to zbyt raptownie i dlatego nie wiedzieli, jak się nimi posługiwać, oni byli bardzo agresywni wobec Białych, dochodziło do zabójstw na ulicy.

— A dzisiaj?

— W tej chwili organizacja Klanu nie jest duża. W działalności Klanu uczestniczą zazwyczaj słabo wykształceni biali ludzie.

Ja nie jestem i nie byłem członkiem Ku-Klux Klanu. Zgadzam się z in-

tencjami Klanu, ale nie popieram ich metod działania.

Klan nie stawia sobie celów politycznych. Stosuje taktykę postrachu, ale to przynosi niewielkie efekty. Jego działalność w rzeczywistości, wbrew intencjom, ujemnie wpływa na promocję praw Białych.

Klan jest organizacją mężczyzn, którzy spotykają się, palą papierosy, piją, rozmawiają o polityce, ekscytują się. Czasami decydują się zrobić coś sensacyjnego. Nakładają swoje kostiumy i kaptury i organizują demonstracje; albo zapalają krzyż, zwykle na terenie należącym do jakiegoś mieszanego małżeństwa.

Liczbę członków można mierzyć w dziesiątkach tysięcy ludzi.

— A co sądzisz o obecnej Polsce?

— Za kilka lat, po zjednoczeniu Niemiec, Polska znajdzie się na granicy nowej federacji krajów Zachodu i wtedy powinna starać się wejść do tej wspólnoty, do europejskiej ojczyzny. Polska powinna związać się jak najściślej z Zachodem, ale rozumieć przez to Zachodnią Europę, a nie Amerykę. Polska powinna też przełamać większość swoich niechęci i uprzedzeń do Niemców.

Michael przyjechał specjalnie do Lublina, aby zobaczyć muzeum na Majdanku. Był tam ponad cztery godziny. Oglądał wszystko dokładnie, robił zdjęcia. Kupił wszystkie dostępne na terenie muzeum publikacje, niektóre w kilku egzemplarzach.

Do malej plastikowej torebki włożył kawałki muru z komory gazowej. Ma zamiar zbadać w Stanach, czy rzeczywiście zawierają chemiczne ślady trującego gazu.

Długo obliczał, czy możliwe jest, by w ciągu jednego dnia kremowano tysiąc ludzi.

Po powrocie z Majdanka nasza dyskusja stała się bardziej ostrą. Trudniej było nam się porozumieć.

Wieczorem Michael odjechał w kierunku kraju swych katastroficznych wizji i obsesji.

Rozmawiała:

Anna Mickiewicz

LISTY - POLEMIKI

„DROGA”

W numerze 32 „Relacji” z 24-30 sierpnia br. został opublikowany list pt. „Droga”. Treść jego i forma nie zasługują na odpowiedź; mówią bardziej o jego autorze niż o opisywanej „Drodze”.

Natomiast dla nieznających sprawy pragniemy wyjaśnić, że neokatechumenat jest jednym z wielu ruchów religijnych, znanych i aprobowanych przez Ojca św. (zob. „Pawła VI i Jana Pawła II spotkania ze wspólnotami neokatechumenalnymi”, Lublin, KUL 1986).

Podobnie biskupi polscy ten ruch aprobowują i doceniają jego wartości wychowawcze. O istocie tego ruchu informuje książka Bpa R. Blásquez: „Wspólnoty neokatechumenalne” (Lublin, Kuria Diecezjalna 1989 r.).

Franciszek Przytuła
Kancelarz
Kurii Diecezjalnej
w Lublinie

Z wielką sympatią i uwagą śledzę rozwój pisma „Relacje” i życzę z całego serca dalszego wzrostu nakładów i sukcesów. Niemniej pewne pozycje budzą we mnie niesmak. Ostatnio coraz częściej na łamach

pisma pojawiają się artykuły niegodne tego, by ukazywać się w poczytnym — już prawie o zasięgu krajowym — tygodniku. Szczególnie chodzi mi o dział polemik, a konkretnie o tematykę „Drogi” neokatechumenalnej, która to „Droga” na szpaltach periodyku jest w niewybredny sposób szkalowana.

Już od wielu lat na terenie Lublina funkcjonuje „spółka z nieograniczoną nieodpowiedzialnością”, której zadaniem jest torpedowanie odnośny posoborowej Kościoła. Spółka ta działa z ukrycia, za zamkniętą przylbicą, prowadząc z za pomocą bezpartyjnej walki z Kościołem Rzymskokatolickim, sobie właściwymi metodami. Np. kolportując zniekształcone katechezy, z wyrwanymi z kontekstu słowami lub zdaniem, rozpowszechniając je wśród wpływowych osób, drukując w maszynopisach „widzenia” z Opola k. Wrocławia, nie wahając się nawet nadużywania w tym celu imienia Matki Bożej, która jakoby gromi katechumenat; „spółka” uprawia szpetną propagandę itp.

Mam podstawę sądzić, że artykuły zamieszczone w „Relacjach” na temat neokatechumenatu (ostatni w numerze 32/89 pt. „Droga”) są następstwem tej działalności owocami, „po których ich poznać”. Nie jest to jednak sposób na zwiększenie popularności i poczytności pisma o dużych aspiracjach. Za czyje srebrniki prowadzona jest ta akcja?

Pragnę też zwrócić uwagę, że podobnie uwłaczając treści, ukazujące się drukiem w wielotysięcznym nakładzie ranią głęboko uczucia religijne rzeszy katolików, nie mówiąc już o tym, że tego rodzaju postępowanie jest sprzeczne z konstytucją PRL.

Poza tym chciałabym wiedzieć, czy redakcja przyjmuje i drukuje — już odpowiedzialnie (!) — nie sprawdzo-

ne, obraźliwe i niesłychanie napastliwe donosy, licząc na bezkarność, a nie licząc się z czytelnikami, serwuje im niezdarne skonstruowane i pożałowania godne pseudopolemiki.

Wracając do ostatniego — mam nadzieję — wydrukowanego paszkwila. Już przy pobieżnym rzucie oka na jego zawartość daje się zauważyć niespójność wzajemnie wykluczających się treści, pokrętną argumentację, pół- i ćwierć-prawdy, zafalszowania, przekręcanie faktów, wyjęte z kontekstu słowa, przeinaczenia, zonglowanie pojęciami, których autor (a może autorzy?) nie rozumie. Skąd my te metody znamy? Egocentryzm autora, trzymane na luźnej smyczy, zięjąca nie-nawiść do całego świata, negatywnizm, stuprocentowy i rozdwojenie jaźni widoczne gołym okiem — wszystko to warte oceny psychologa, a jeszcze bardziej psychiatry. Obaj mieliby tu wiele do powiedzenia: spod czyjej ręki to wyszło, a dokładnie, w jakiej się to głowie wyklulo.

Polemizować można na wszystkie tematy — jednakże modlitwa, jej intencje, jej treści i sposoby przedstawiania Bogu są poza wszelką dyskusję. Są to relacje między Bogiem a modlącym się, i tu, mimo tytułu waszego czasopisma, została przekroczona jakaś dopuszczalna granica przyzwoitości.

To samo dotyczy wyszydzenia liturgii, jej rytów i treści ewangelicznych. Zwraca uwagę brak poszanowania dla hierarchii Kościoła (np. nazywanie księży sprawujących ofiarę Mszy św. — liderami, zapatrywanie ich pejoratywnymi przymiotnikami, imputowanie Jego Eminencji ks. Biskupowi, że nie ma rozważania, co jest prawdą, a co fałszem w sprawach religii). Autor wszystko wie lepiej, każde morze sięga mu kostki, a każde niebo nie wyżej pierwszego piętra. Żadnych autoritetów! Wszystko to razem

wziąwszy, ma posmak gestu Herostrata.

Wiele by tu można jeszcze, ale uważam, że autor, który nie ma odwagi podpisać się pod tym, co wydukał, nie zasługuje na to, by mu tyle uwagi poświęcać.

Polemika na tematy teologiczne może być prowadzona wyłącznie przez ludzi kompetentnych i na łamach pism do tego powołanych. W tym miejscu pragnę także wyrazić całkowite poparcie dla wypowiedzi p. Lecha Skowrońskiego z Warszawy w liście zamieszczonym w numerze 33/89 — zwłaszcza w tej jego części, dotyczącej polemiki — niech się nimi zajmują fachowcy. [...]

Mam nadzieję, że na tym zakończy się niesławna „polemika”. Choć z drugiej strony możliwym także jest — wg zasady jednego z szefów propagandy hitlerowskiej: „pluj, zawsze coś z tego przyłgnie” — że nasi domorośli adwersarze nie złożą broni, ale przynajmniej będzie wiadomo, who is who.

Mój głos nie jest udziałem w tej tzw. polemice — jest raczej wypowiedzią na apel redakcji: „jaki profil Relacji”. Pragnęłabym, aby periodyk lubelski miał wysoką rangę, a podobne „pyskówki”, na które zwróciłam uwagę, raczej go degradowują, stając się zerem niewybrednych konsumentów. Być może ze względów ekonomicznych jest optymalne drukowanie czegoś takiego, wszak pecunia non olet, ale szkody moralne, jakie to za sobą pociąga, są nieobliczalne.

Maria Wołyńska
Lublin

PS. Publikacją powyższej korespondencji zamykam wielomiesięczną dyskusję o neokatechumenacie

(Red.)

DEBY W BOGLÁRLELLE

Dokończenie ze str. 2—3

WIECZOREM 13 września przyjechali uczestnicy III zjazdu wychowanków polskiej szkoły w Balatonboglár. Przybyło ich 232 spośród 619, jacy w różnych okresach lat 1939—1944 trafili do ewidencji szkół w Balatonzamárdi i Balatonboglár, szkół, których pierwszą monografię pióra Tadeusza Budzińskiego opublikowało wydawnictwo Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego UMCS w 1984 r. Mnie zaś przypada w udziale recenzyjna promocja wydawnicza tej książki, co mi „przypomniano” i od uczestników zjazdu otrzymałem pamiątkową kartę z wielu ich podpisami i datownikami pocztowym z okresu wojny!

Przybyli z wielu krajów, jak Kanada, USA, Francja, Wielka Brytania, Szwajcaria, NRF, NRD, także z Węgier, a najliczniej z Polski. Przybyli, by dać świadectwo prawdzie o postawie narodu węgierskiego i władz tego państwa wobec polskich emigrantów w latach wojny, by „zatrzymać czas”, przywracając tu swoją wojenną młodość z całym jej ciężarem życia na obczyźnie, ale i porywem patriotyzmu i rzetelnej nauki. „Myśmy się tu druzgi raz narodzili — powie Mieczysław Ostojka-Mitkiewicz — bowiem tu otrzymaliśmy maturę i osiągnęliśmy dojrzałość życiową”. Najmłodszy z nich na zjeździe miał 59 lat, najstarsi byli już po 70-tce...

Spotkali się w dawnym głównym budynku Polskiego Gimnazjum i Liceum przy Arpad utca 17, budynku, który tuż przed wybuchem wojny wznosili mieszkańcy pod przewodnictwem ks. Béla Vargi — proboszcza, ale i posła do parlamentu, a tu czołowej postaci w opozycyjnej Partii Drobnych Rolników.

Przed wejściem do hali „Platán”, na stolicku, młodzi ludzie sprzedawali dwie publikacje: przełożoną na język węgierski i ładnie wydaną książkę T. Budzińskiego i w bliźniaczej szacie graficznej Laczko Andrása, „Menküles a jövőért. Lengyelek sorsok Magyarországon 1939—1945” („Ucieczka w przyszłość. Polskie losy na Węgrzech”), na którą składa się dziewiętnaście biografów, oraz rozdawali odezwy programowe Partii Drobnych Rolników, która powstaje na Węgrzech po 40 latach od czasu przemocy i terroru (stalinowskiego) Rakosiego. Nie było to przypadkiem, wszak ks. Varga, wygnany z kraju, sędziwy dziś, ale nadal czynny na emigracji w USA — ponoć zmienił testament! Niegdyś pragnął spocząć na Jasnej Górze, możliwie najbliższej ojczyźnie i pod opieką Paulinów — zakonu wywodzącego się z Węgier, ale ostatnie zmiany polityczne na Węgrzech i wydanie tam oficjalnie aż trzech naraz jego biografii politycznych pozwalają żywić nadzieję, że na Węgry powróci...!

Tenże boglarski proboszcz, kiedy pojawiły się polskie dzieci z wojennej emigracji w jego parafii, nadal zamieszkiwał w chałupie ulepionej z gliny i pod strzechą, a nową plebanię oddał na użytek szkoły, za aprobatą całej społeczności węgierskiej. I tak się zaczęło w Balatonboglár.

Dziś w tym gmachu, znacznie rozbudowanym, jest Dom Kultury im. Béli Vikára, a fronton jego zdobi druga już tablica, tym razem z datami „1939—1989” ponad godłami państwowymi i napisem w obu językach o 50 latach obecności tu Polaków.

15 września wieczorem odbył się wiec przyjaźni węgiersko-polskiej, troche niezwykły, bo prawie wszyscy mówili językiem węgierskim. Na Górze Zamkowej, wyniosłej nad Balatonem, posadzono dwa dęby. Złączono wiązki jeszcze pnie szarfami o barwach narodowych polskich i węgierskich, by słowem St. Worcella nadać odpowiednią symbolikę...

Znacznie bardziej konkretną przeważać przyszło dnia następnego, na głównej uroczystości w hali „Platán”.

Ze strony węgierskiej przybyli: minister stanu i członek czteroosobowego kierownictwa partii Imre Pozsgay — czołowy przedstawiciel sił reformatorskich w państwie, wiceminister spraw zagranicznych István Őszi oraz grono wysokich urzędników i działaczy politycznych. Stronę polską reprezentował ambasador T. Czechowicz, z podobnie wysokimi urzędnikami polskich placówek w Budapeszcie, zaś z kraju przybyło kilka delegacji, z Ra-



Pomnik

„Magyarország és Lengyelország két örökéletű fájly, melyek külön törzset növesztettek, de gyökereik a föld alatt messzefutniak, összekapcsolódtak és láthatatlanul egybefonódtak. Ezért egyiknek léte és erőteljessége a másik életének és egészességének feltétele.”

„Węgry i Polska to dwa wiekiste dęby, każdy z nich wystrzelił pnem osobnym i odrębnym, ale ich korzenie, szeroko rozłożone pod powierzchnią ziemi, i spletały się i zrastały niewidocznie. Stąd byt i czerstwość jednego jest drugiemu warunkiem życia i zdrowia”

Stanisław Worcell
(1849)

Reprodukował Waldemar Stępień

dy Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa (gen. M. Cygan), Towarzystwa „Polonia” (Z. Bylica), Federacji Stowarzyszeń Polsko-Węgierskich i in-

ne. Uroczystość rozpoczął miejscowy chór, śpiewając hymn polski, podjęty natchmiasz przez liczne grono Polaków (około 400 osób), a zaraz potem hymn węgierski, śpiewany z ogromnym uniesieniem... Dlaczego? Historyczna pieśń Kötseya (1790—1838) z muzyką F. Erkeła powstała w 1829 r., po roku 1944 rzadko była śpiewana, po roku 1948 bezwzględnie usunięta, zakazana. Przywrócona nie tak dawno. Takie jej losy tłumaczą słowa dwóch pierwszych zwrotek:

Boże, nie szcędź Węgom łask,
Chleba i wesela,
Niech twe ramię chroni nas
Od nieprzyjaciela.

Daj nam rok radosnych dni,
Niech ten lud ukoi,
Co okupił morzem krwi
Przyszłość ziemi swojej.

Następnych siedem zwrotek jest dalszym ciągiem tej podniosłej modlitwy, która przecież nie mieściła się w stalinowskim modelu państwa i była wykorzystywana. Odżyła. Powróciła!

A potem, Imre Pozsgay, swobodnie i bez kartki, z rzadko spotykaną retoryką, mówił o idei wolności, uchodźstwa, o racjach moralnych w polityce wewnętrznej, w domyśle — Węgier, i międzynarodowej, już bez domysłów — w Europie Środkowej. O roli Węgier i Polski w procesach przemian, a wszystko w tle dziejów wojennych i powojennych obydwu narodów. Zakończył zaś krótką sekwencją: Węgry były zawsze krajem otwartym dla ludzi poszukujących wolności, a rządy ich prowadziły politykę zgodną z wolą narodu — nic więc dziwnego, że i dziś podobnie postępują, jak niegdyś,

przed 50 laty... pomimo układów, zobowiązań, przynależności międzynarodowej. Węgry są suwerenne!

Owacja wybuchła po tym przemówieniu i przysłoniła wszystkie inne wystąpienia. Nic dziwnego, na sali była rzesza uchodźców wojennych i ich przyjaciół — ludzi, którzy w sposób najbardziej osobisty odebrali przemówienie I. Pozsgaya, który o nich i do nich mówił! A to już jest sztuka w polityce...

Ponowne uniesienie nastroju przyniosła znakomita laudacja ambasadora Czechowicza, wyprzedzająca akt dekoracji sztandaru. I znowu była owacja.

A na koniec hymny państwowe w odwrotnej kolejności, w pierw węgierski, potężny w wymowie i sile, jednak śpiewany przez prawie wszystkich obecnych. I ta końcowa scena, która utkwiła mi w pamięci: hala pustoszeje, ludzie wychodzą, ale do sztandaru Boglárlelle zbliżają się pojedyncze osoby, coraz ich więcej. Stoją, rozmawiają, dotykają. Patrzą zażawionymi oczyma na złoty szamerunek herbów, polski order i jego szarfy, niemal identyczne z barwą sztandaru. Tak mieszkańcy przyjmowali swój znak tożsamości lokalno-narodowej. Polakom zaś działacze „Magyar Demokratikus Front”, czołowej siły reformatorskiej opozycji, wręczali medal z wyobrażeniem dębów i napisem: „Magyar — Lengyel Barátság. Napok — Boglárlelle”. Medal z boglarskiej glinki wypalony przez noc w warsztacie A. Léglí. Zdaje się, że ten medal najtrwalej połączył pierwszy i drugi obieg informacji i wydarzeń w Boglárlelle. A słowo „napok” można przełożyć jako „dzień radości”, a równie dobrze „dzień nadziei”. Wtedy cały napis znaczy: „Dzień nadziei węgiersko-polskiego braterstwa”.

Mieczysław Wieliczko

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr. Muzyczny:
29.—30.09; 1.10 godz. 19 (Dom Kultury Kolejjarza, ul. Kunińskiego 35): „Bal w Savoyu” Paula Abrahama; reż. Ryszard Zarewicz.

3.—4.10 godz. 19: „Baron cygański” J. Straussa.

W LUBLINIE

Filharmonia:
30.09 godz. 18 — koncert symfoniczny; 1.10 godz. 18 — nadzwyczajny koncert symfoniczny z okazji Międzynarodowego Dnia Muzyki. W koncertach wystąpią: orkiestra Państwowej Filharmonii Lubelskiej pod dyrekcją Adama Nantanka oraz Polskie Duo Skrzypcowe — Jolanta Siry-Osmolińska i Ryszard Osmoliński. W programie koncertów: Koncert podwójny d-moll J. S. Bacha, Koncert podwójny A-dur A. Vivaldiego, trzy utwory w dawnym stylu H. M. Góreckiego oraz Suita baletowa „Oczekiwanie” A. Blocha.

WYSTAWY

W LUBLINIE

BWA — nieczynne z powodu kłopotów finansowych (!).

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa pt. „Wrzesień w literaturze”.

Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem” — wystawa pt. „GRYPY więźniów politycznych Zamku Lubelskiego z okresu okupacji”.

Muzeum Kultury Fizycznej i Sportu (al. Zygmunto-wskie 4) — wystawa pt. „Sport w obozach jenieckich”.

Muzeum na Zamku — wystawa pt. „Rosyjskie ikony końca XVIII — początku XX w.”.

Filharmonia (foyer) — wystawa malarstwa Juliusza Kleczka.

W NAŁĘCZOWIE

Muzeum Ruchu Spółdzielczego w Polsce — wystawa poświęcona życiu i działalności Zygmunta Chmielewskiego.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa obwoluty i okładki książkowej (ze zbiorów BWA w Białej Podlaskiej).

W MIĘDZYRZECU PODLASKIM

Galeria ES — wystawa malarstwa Andrzeja Markiewicza.

W CHELMIE

Galeria 72 — wystawa międzynarodowej grupy artystycznej „ARBITS-KREIS”.

W ZAMOŚCIU

BWA — wystawa malarstwa Jerzego Dudy Gracza.

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa, rysunku i rzeźby Janiny Kaczmarczyk pt. „Kresy”.

OGŁOSZENIA

WYSTROJE wnętrz, szyldy.
77-42-72 po 16.

21364/G-2

BIURO wynajmu lokali. 380-03.
19256/G-5

KUPNO

SILNIKI i stoły do maszyn szwalniczych, przemysłowych. Lublin 335-73.

21958/G

KUPIE dom, dom do remontu lub działkę w Nałęczowie. Garstka, Lublin, Pana Tadeusza 12/64.

21936/G

TV

CZWARTEK 28 WRZEŚNIA PROGRAM I

8.05 Rytmy ciała: Spacerkiem czy biegiem
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Policjanci z Miami” — „Policjanci o dwóch twarzach” — serial krym. prod. USA
10.10 Domator
16.00 Program dnia. DT — wiadomości
16.05 Polskie zdroje: Busko Zdrój
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii: „Świat, w którym żyjemy”
17.15 Teleexpress
17.30 „Żołnierze majora Hubala” — reportaż Jacka Sawickiego
17.55 Sonda
18.25 Program publ.
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.10 DT
20.05 „Policjanci z Miami” — „Policjanci o dwóch twarzach” — serial krym. prod. USA
20.50 Kroniki PAT: Tak było...
21.05 Studio sport: Mistrzostwa świata w boksie
21.20 Pegaz
22.10 Czas — magazyn publ.
22.40 Zawsze po 21-szej
23.20 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Skarby kultury polskiej” — „Skarby Jagiellonki” (2) — film dok.
18.00 Program lokalny
18.30 Program publicystyczny
19.00 Magazyn „102”
19.30 „Świat roślin” (13-ostatni) — „Człowiek i jego środowisko” — serial przyr. prod. CSRS
20.00 Studio sport: Wielki tenis
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino studyjne „Dwójki”: „Norma Rae” — dramat społ. prod. USA. Reż. Martin Ritt. Wyk. Sally Field, Beau Bridges, Ron Leibman
23.40 Komentarz dnia

PIĄTEK

29 WRZEŚNIA

PROGRAM I

8.05 Wśród ludzi: Społeczeństwo
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Numer popisowy kaskader” — komedia prod. CSRS
10.15 Domator
15.50 Program dnia. DT — wiadomości
15.55 Intersygnal
16.25 Dla młodych widzów
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Nieznany żołnierz — wojskowy program dok.
17.45 Z Polski rodem — magazyn polonijny
18.10 Skarbiec
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Kret na pustyni
19.10 Monitor rządowy
19.30 DT
20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Stawa” — film fab. prod. USA. Reż. Alan Parker. Wyk.: Eddie Barth, Irene Cara, Lee Currier, Laura Dean i inni
22.25 Kroniki PAT: Tak było...
22.40 Otwarte studio (1)
23.40 Studio sport: Po pucharach
23.50 DT — echa dnia
0.05 Otwarte studio (2)

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów

Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Z czego śmieją się sąsiedzi: „Nasz nowy człowiek” — komedia obycz. prod. NRD.
19.00 „Andrzeja Pągowskiego miasto plakatów” — reportaż z Zachęty
19.30 Dookoła świata: Operacja „Zagiel'89”
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 „Profesor Józef Bogusz” — film dok. Krzysztofa Miklaszewskiego
22.30 Filmy Paula Coxa: „Moja pierwsza żona” — dramat psychologiczno-obyczajowy prod. austral.
0.10 Komentarz dnia

SOBOTA 30 WRZEŚNIA PROGRAM I

7.55 Program dnia
8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie program rekreacyjny
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży oraz film „Postrach miasta” (1) — serial prod. ang.
10.30 DT — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.15 Zdrowie — wojskowy program publicystyczny
11.45 Telewizyjny koncert życzeń
12.15 Telewizyjny Teatr Prozy: Jarosław Iwaszkiewicz „Sława i chwala” (4-ostatni)
13.55 W pyłe wrześniowych dróg — widowisko artystyczne
14.25 Chic — program o modzie
14.55 Komedia, komedia, komedia: „Lata dwudzieste lata trzydzieste” — komedia muz. prod. pol. Reż. Janusz Rzeszewski
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.45 Teleexpress
17.00 Studio sport: Mistrzostwa świata w boksie — Moskwa'89 (finały)
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Przygody misia Colargola
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 DT
20.05 „Napał” — film fab. prod. USA. Reż. Peter Yates, Wyk.: Stanley Baker, Joanna Petter i inni
21.55 Tydzień w polityce
22.05 Telewizyjny przegląd sportowy
22.25 Tele-gram
23.10 Telegazeta
23.15 Kino sensacji: „Nieuchwytny morderca” — dramat krym. prod. włoskiej. Reż. Duccio Tessari, Wyk.: Helmut Berger, Evelyn Stewart, Carole Andre

0.55 Zakończenie programu

PROGRAM II

10.20 Trzy godziny z TV Katowice
13.20 Konkurs 5 milionów
14.05 W świecie ciszy
14.30 Telewizyjny koncert życzeń
15.00 Program dnia
15.05 Małe kino: „Dzieci Boże” — film dok. Anny Pietraszek
15.30 5—10—15 — program dla dzieci i młodzieży
17.00 Robert de Niro w Warszawie
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Alfa i omega
20.00 Stanisław Nawrocki, kompozytor przypomniany (1884—1950)
20.50 Ach kobiety, kobiety: „My fair lady” kontra „Wesoła wdówka” — widowisko muzyczne
21.30 Panorama dnia
21.55 „Chateaufallon” (21) — serial prod. franc.
22.50 Komentarz dnia

NIEDZIELA

1 PAŹDZIERNIKA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim film „Janka” (2) — „Spełnione marzenie” — serial prod. polsko-zachodniemieckiej
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Ku brzegom dalekiej Oceanii” — film dok. prod. ZSRR
11.25 Tadeusz Kutrzeba — wojskowy program dok.

12.00 Kraj za miastem
12.30 Telewizyjny koncert życzeń
13.15 Teatr dla dzieci: Brian Patten „Słoń i kwiat”. Reż. Stanisław Pieniak. Wyk.: Marian Opania Grażyna Strachota, Adrianna Biedrzyńska, Krzysztof Tynieć i inni.
14.05 Było to 30 lat temu — program publicystyki rolnej
14.45 Antena
15.05 „Panna dziedziczka” (21) — serial prod. brazył.
16.45 Teleexpress
17.00 Studio sport: Mistrzostwa świata w boksie — Moskwa'89 (finały)
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Kaczora Donalda
19.30 DT
20.05 „Klan” (5) — serial prod. franc.
21.05 Siedem dni: Świat
21.35 Sportowa niedziela
21.55 Pegaz — wydanie jubileuszowe
22.55 Telegazeta

PROGRAM II

9.05 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
9.40 Film dla niesłyszących: „Klan” (5) — serial prod. franc.
10.40 Magazyn lotniczy
11.10 Lokalny koncert życzeń
11.35 Jutro poniedziałek
12.05 Program dnia
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.20 Kino rodzinne: „Niebezpieczna Zazbka” — serial prod. kanad.
13.15 Aktualności kulturalne: Picasso w Poznaniu
13.30 Podróże w czasie i przestrzeni: „Badacze nieznanego” (4) — Bronisław Malinowski — serial dok. prod. ang.
14.25 Formuła I (1)
14.40 100 pytań do...
15.10 Prawdziwa historia Frankenstein — film dok prod. ang. Reż. Alan Lewens
16.10 Formuła I (2)
16.30 „Polacy” — film dok.
17.15 Być tutaj
17.30 Bliżej świata
19.00 Czas nadziei — spotkanie z Ryszardem Reiffem
19.30 Kwiat magnolii'89 — Turniej Tańca Towarzystwa
19.35 Międzynarodowy Dzień Muzyki — Koncert galowy z Moskwy
20.50 Studio sport: Piłka w grze
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć” (5) — serial prod. USA
22.40 Gość „Dwójki”: Joanna Cortes
22.45 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK

2 PAŹDZIERNIKA

PROGRAM I

16.20 Program dnia. DT — wiadomości
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 „Następny proszę” (11) — „Podziękowania dla Davida Lawrence'a” — serial prod. ang.
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Ja ci jeszcze pokażę
19.10 W sejmie i senacie
19.30 DT
20.05 Teatr Telewizji: Friedrich Dürrenmatt „Sędzia i jego kat” Reż. Wojciech Adamczyk. Wyk.: Zygmunt Bielawski, Stanisław Melski, Igor Przegrodzki, Jerzy Schejbal, Edwin Petrykat i inni
22.00 „Obok nas” — reportaż
22.30 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Czarno na białym
19.10 Cicha woda — program rozrywkowy
19.30 Życie muzyczne: Bydgoskie impresje muzyczne
20.00 Auto-Moto Fan Klub
20.30 Osądźmy sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia

21.45 Biografie: „Arthur Miller” — film dok. prod. ang. Reż. Geoff Dunlop
22.40 Komentarz dnia

WTOREK

3 PAŹDZIERNIKA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Cyklon Tracy” (1) — film prod. austral.
10.55 Domator
16.20 Program dnia. DT — wiadomości
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” — serial prod. austriackiej
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
18.15 Mozaika narodowości: Puńsk — reportaż
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Wesołe przygody Pika, Kwika i wieloryba Grubaska
19.10 Program public.
19.30 DT
20.05 „Cyklon Tracy” (1) — film fab. prod. austral. Reż. Donald Crombie. Wyk.: Chris Haywood, Tracy Mann, Nicholas Hammond
21.40 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „S”
22.25 Studio Solidarność
23.10 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 „Pekin — koniec dekady” — film dok. Ryszarda Bójki
19.30 Blisko nieba
20.00 Non stop kolor: „Cl, którzy przetrwali — blues dzisiaj” (1) — film prod. USA
21.00 „W kręgu sztuki” — „Początki fotografii” (1) — serial dok. prod. ang.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Kobieta i kobieta” — film prod. pol.
23.25 Komentarz dnia

ŚRODA 4 PAŹDZIERNIKA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Nikogo nie zabiłem” — film fab. prod. bułgar.
10.50 Domator
16.20 Program dnia. DT — wiadomości
16.25 Dla młodych widzów: Latający holender — Klub Zdobywców Oceanów
16.50 Dla dzieci: Wyprawy prof. Ciekawskiego
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX w. (1)
17.50 „1939 — w pamięci pokoleń” — program dok.
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Porwanie Baltazara Gąbki
19.10 Wydarzenie tygodnia
19.30 DT
20.05 Wojna i film: „Kukułka w ciemnym lesie” — film fab. prod. polsko-czechosłowackiej
21.45 Strefa wolnorozrywkowa — Szczecin (3) — „Zewex”
22.35 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 ABC — teleturniej językowy
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „ZSarny kwadrat” — film dok. prod. CZRR
19.30 „Zjednoczone emiraty arabskie” — program dok.
20.00 Wirtuozii wiolinistyki: Hanna Lachert
21.00 „Syberyjskie losy” — reportaż Stanisława Kostrzewy
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie” — serial TP
22.15 997 — kronika milicyjna
23.15 Komentarz dnia

ZESPOL: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluszuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Prasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korkta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.

ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231. WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.

Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830. Zam. 1404. 15.09.89. B-4.

Polskie gospodarstwo

KLUCZEM do pomyslnego rozwikłania naszych trudności politycznych jest gospodarstwo, a w pierwszym rzędzie rolnictwo. Jest to prawda oczywista w tym kraju dla każdego myślącego człowieka. W końcu z powodu żywności upadła w roku 1970 ekipa Gomułki, z powodu żywności wybuchły protesty w czerwcu '76 i z tego samego powodu (uściślijmy: raczej pretekstu, gdyż powodem była już całkowita niewydolność systemu) rozpoczęły się w lipcu '80 robotnicze strajki. Żywności bowiem w Polsce, poza krótkotrwałym rozkwitem tuż po wojnie, było zawsze za mało i była ona zawsze za droga. Podczas gdy Europa produkowała coraz więcej i coraz taniej, u nas ładowano pieniądze w PGR-y, a poprzez odpowiedni system cen (skupu i zaopatrzenia), kredytów i obrotu ziemią wstrzymywano przekształcanie się rolnictwa drobnotowarowego w prężne, wysoko wydajne i zmechanizowane rolnictwo farmerskie.

Ale — powiedzmy — należy to już do historii, bo mamy teraz rząd, który pilnował będzie nie czystości doktryny, ale pragmatyzmu działania i arytmetyki. Można zatem przypuszczać, że za rok, czyli tyle, ile trwa wychodowanie świni, rynek mięsny uzyska równowagę, sklepy będą pełne, a nawet przepełnione. Jeżeli wszak znikną mechanizmy hamujące produkcję, wzrośnie ona lawinowo, ponieważ nie ma chyba w Polsce rolnika, który nie chciałby zarabiać więcej. Ale czy rzeczywiście?

Struktura naszego kompleksu gospodarki żywnościowej jest w świecie bezprzykładna. Z jednej strony, mamy miliony indywidualnych, prywatnych producentów żywności, z drugiej — wielki, zmonopolizowany i scentralizowany przemysł zaopatrujący rolnictwo w nawozy, maszyny, narzędzia i paliwa. Rolnik wobec tej bezlitosnej maszyny zawsze będzie bezbronny i proszącym o łaskę petentem. Zawsze, czyli dopóty, dopóki ten przemysł nie zostanie rozdrobniony, zdemonopolizowany i oddany w prywatne ręce. A przede wszystkim musi go być dwa razy więcej, bo tylko w sytuacji pewnej nadprodukcji rozwija się konkurencja i wymuszony zostaje postęp techniczny w celu obniżenia kosztów wytworzenia. Póki co producent, jak mamy to obecnie, śrubuje cenę, jak tylko może, ponieważ wie, że towar swój sprzeda właściwie za każde pieniądze. Rolnik — na przykład — musi kupić traktor, gdyż inaczej nie uprawi swojej ziemi. Kupi go kosztem wielu wyrzeczeń, ale musi to sobie jakoś zrekomensować. Jak? Ano podwyższy cenę z kolej swoich towarów. I tak w kółko.

WOSTATNIEJ fazie przesłuchań kandydatów do nowego rządu z ufnością oczekiwałem na telefon z kancelarii Rady Państwa. Do ostatniej chwili byłem pewny, że premier Mazowiecki nie zapomni o moich kwalifikacjach i zaproponuje mi jedną z tek. Ale telefon uparcie milczał. Przed północą stało się jasne, że premier postanowił zrezygnować z moich usług, decydując się na klucz w starym stylu, to znaczy na własną kamarylę z lekką przetykaną satelitami z PZPR, ZSL i SD. Do nepotyzmu jeszcze dość daleko, ale poczekajmy, Rumunia nie leży na antypodach.

O jakich mówię moich kwalifikacjach? Ma się rozumieć, o kwalifikacjach felietonisty. Premier Mazowiecki, rezygnując z moich usług, dał oczywisty dowód na to, że nie całkiem ogarnia groźbę sytuacji i zdaje się nie rozumieć, że ten kraj mogą uratować już tylko felietoniści lub szamani, w każdym razie ludzie niekonwencjonalni, nie skażeni rachunkiem ekonomicznym, ideami równości społecznej i nie zwolennicy wolnego rynku. Ci ostatni bowiem, jeden po drugim, nie wyłączając superprywatyzacji z gatunku ministra Wilczka, okazywali się zupełnie anachroniczni w zderzeniu z gospodarką irracjonalną, szamańską, taką właśnie, jaką jest gospodarstwo polskie.

Felietonowe precedensy na szczytach władzy w Polsce już były. Były zupełnie niedawno i zupełnie zdążyły egzamin. Etatowy felietonista „Szpilek” Jerzy Urban sam jeden, posługując się jedynie Głównym Wyjaniem Dziennika TV, stworzył całą pomyslną pieciolatkę umiarkowanej stabilizacji. W przekształceniu tego

Czy jest na to jakaś rada? Jest, polega ona na uważnym kontrolowaniu przez rząd cen w całej gospodarce żywnościowej, dopóki ta gospodarka nie stanie się gospodarką rynkową z prawdziwego zdarzenia. Albowiem w sytuacji niedoboru cena jest zawsze o wiele wyższa, niż być powinna: dodajmy także, że w żaden sposób nie usprawiedliwia tej wysokiej ceny podwyżka płac, skoro płace w przemyśle ciężkim (hutniczym, maszynowym i chemicznym) wynoszą zaledwie 3—5 procent kosztów wytworzenia. A reszta? Reszta to koszty marnotrawstwa, rozdętej

zanim powstaną nowe zakłady, przetwórcze, fabryki i fabryczki, zanim powstanie rynek wolnych producentów i grymaszących klientów — muszą upłynąć lata.

Dlatego niepokojem napawa mnie program gospodarczy nowego rządu, przedstawiony w „Tygodniku Solidarność” z 15 września. Oczywiście nie cały program, ale trzy jego punkty, które sformułowane zostały zbyt pochopnie i — jakby — bez należytego namysłu. Otóż co przewidywał sierpniowe zniesienie kontroli cen przez poprzedni rząd M. F. Rakowskiego — widać gołym okiem i czuć w pustym żołądku. Po prostu chłop nie chce sprzedawać, gdyż bilety NBP są bez-

nych budynków. To są sprawy najprostsze, najłatwiejsze i najszybciej dające efekty. W każdej gminie mogłyby być dwa—trzy małe zakłady mięsne i małe mleczarnie prywatne albo prawdziwie spółdzielcze. A więc za te dwa—trzy lata mielibyśmy żywności w brod. Moglibyśmy być jej znaczącym eksporterem na Wschód i Zachód.

Niedawno prasa doniosła, że Kongres amerykański uchwalił kredyt w wysokości 100 milionów dolarów na inwestycje prywatne w Polsce. Co można mieć dzisiaj w kraju za te pieniądze? Bardziej wiele. Jestem np. przekonany, że za 10 tysięcy dolarów polski rolnik byłby w stanie urządzić małą

JAK WYKORZYSTAĆ 100 MILIONÓW DOLARÓW?

Andrzej W. Pawluczuk

biurokracji (prawie połowa zatrudnionych w naszym budownictwie to urzędnicy), to wreszcie nadmierny fiskalizm, wymuszony np. koniecznością utrzymania rozdętej biurokracji gospodarczej państwowej i partyjnej. Liczba urzędników i funkcjonariuszy różnego rodzaju w woj. lubelskim jest dzisiaj znacznie wyższa niż w roku 1965, chociaż obszar województwa zmalał prawie trzykrotnie. Czy ktokolwiek powiedziałby jednak, że w związku z tym poprawiła się jakość rządzenia, zarządzania i urzędowania? Nie sądzę.

Tu zapewne podniosą się głosy oburzenia. Jak to, kontrola cen, kiedy uruchamiamy w gospodarce mechanizmy rynkowe? Tak, właśnie tak, ponieważ mechanizmy rynkowe działają tylko wówczas, kiedy rynek istnieje. Zresztą w rozwiniętych krajach Zachodu rząd do dzisiaj uważnie przygląda się rożnizemu rolnictwu, dotując niektóre produkty, interweniuje za pomocą preferencyjnych kredytów, ceł czy — jak w Ameryce — płaci za powstrzymanie się od produkowania.

Kontrola cen to przecież nie tylko to, co znamy w Polsce, czyli sztywne, administracyjne ustalenia wysokości ceny. To również kontrola tego wszystkiego, co wpływa na cenę produktu, a więc działanie za pomocą różnych mechanizmów ekonomicznych i politycznych na koszty wytworzenia. Zanim więc demokratyzacja polityczna i gospodarstwa zaowocuje rozkwitem rodzimej, prywatnej przedsiębiorczości,

wartościowymi świstkami papieru. Nie wiem, co należy zrobić, aby chłop chciał sprzedawać. Może potrzebne są jakieś rządowe gwarancje, może jakieś przedpłaty na maszyny z gwarancją utrzymania ich cen na znośnym poziomie, może subskrypcja na materiały budowlane? Niech to rozważą fachowcy. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że rząd musi w tej sprawie interweniować. Tego nie można puścić na żywioł, ponieważ ani rolnik, ani konsument nie zniosą tego na dłuższą metę.

Z kontrolą cen wiążą się następne punkty rządowego programu: zniesienie dopłat z budżetu i zlikwidowanie wszelkich preferencyjnych kredytów z wyjątkiem budownictwa mieszkaniowego. Otóż sądzę, że większe znaczenie ogólnospołeczne w ciągu najbliższych dwóch—trzech lat miałyby dogodne kredyty dla inwestorów prywatnych w całym sektorze gospodarki żywnościowej, a w tym także dla przedsiębiorców budowlanych wnoszących nie tylko mieszkania, ale i obiekty przemysłowo-usługowe. To napędziłoby koniunkturę i w szybkim czasie przyniosło zapełnienie rynku żywnościowego.

Prawie każdy polski rolnik umie wytwarzać wędliny, prosta jest także technologia produkcji masła i serów. Niedużą mleczarnię, czy choćby na razie serowarnię, można wybudować w ciągu roku, ubojnię i masarnię można mieć prawie natychmiast, zważywszy, ile po naszych wsiach stoj opuszczo-

przetwórcze. A za 100 tysięcy polski rzemieślnik postawiłby niewielką fabryczkę wytwarzającą sprzęt do takich domowych masarni. Około 100—200 tysięcy kosztowałaby niewielka mleczarnia wraz z kontenerową oczyszczalnią ścieków. A więc za sto milionów twardej waluty można mieć np. dziesięć tysięcy małych masarni albo 500 małych mleczarni. Albo dwa tysiące masarni, kilka fabryczek zaopatrujących je w sprzęt i 100 mleczarni.

Można też dać kredyt spółce, która chciałaby produkować traktory. Na razie wytwarza się ciągniki chałupniczym sposobem, widać takie na naszych polach i drogach i muszą one sprawować się nieźle, skoro jest na nie popyt.

A zresztą każdy rolnik podpowie natychmiast kilka pomysłów na dobre spożytkowanie tych amerykańskich pieniędzy. Tyle, że muszą być one dane na kredyt poparty rządowymi gwarancjami co do znośnego systemu fiskalnego.

Pamiętajmy, że wielki kryzys w Ameryce byłby trwał o wiele dłużej, gdyby nie konsekwentna i stanowcza interwencja rządu federalnego. Ze rolnictwo w krajach zachodniej Europy nie osiągnęłoby dzisiejszej wydajności i poziomu technologicznego bez pomocy państwa. Ta pomoc ważna i potrzebna jest zwłaszcza u nas, w kraju, który ma gospodarke na bardzo zacofovanym poziomie i o bardzo złej strukturze.

umiarkowanego sukcesu w błyskotliwy boom gospodarczy przeskoczyli mu jedynie sankcje Zachodu oraz destrukcja opozycji. Tej samej niedawnej opozycji, która dorwawszy się do steru, odrzuca intuicję felietonistów i bierze kurs na rafy wolnego rynku, gdzie szaleje rozum i kalkulator.

Nie ukrywam, że miałem chrapkę na tekę ministra kultury. Wprawdzie samo ministerstwo jest zagrożo-

Otóż pragnę wyjaśnić, że na okoliczność propozycji teki rolnictwa czy przemysłu miałem przygotowany kompleksowy program uzdrowienia gospodarki, prawdziwą tajną broń, którą odstąpię dobrowolnie, bezpłatnie, w czynie społecznym, dokładnie za tydzień w tym samym miejscu, by wykazać, że felietoniści potrafia być osobnikami obrzydliwie rzeczowymi, a niechęć do sztampy, do powielania starych wzorców w nowych szatach

Cywińska, warto sprawdzić jej konto wydawnicze. Nie bankowe, lecz wydawnicze.

Konto ministra Krawczuka w chwili obejmowania przezeń urzędu ministra musiało być bardzo bogate i składać się z tych kilkunastu niewydanych książek, które potem jako minister w oszalamiającym tempie i częstotliwości rzucał na rynek księgarski, przeważnie do wiejskich klubów „Ruchu”, gdzie leżały sobie latami w

KONTO ZEROWE

Henryk Pająk

ne pomysły likwidatorskimi, przerwani malkontenci i reformatorzy przebakują o nieprzydatności tych kilkuset ludzi pijących kawę w stylowej „podkowie” przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, ale są to pomysły desperackie i mściwe: nie można oskarżać ministerstwa kultury o brak kultury, w końcu to nie fabryka łożysk tocznych, tylko dyskretny mecenas dla tych, którzy produkują dobrą kulturę. Produkują, jeśli chcą i jeśli im dopisze talent.

Dlaczego upatrzyłem sobie kulturę, a nie na przykład rolnictwo, przemysł czy choćby handel zagraniczny, zwany teraz współpracą z zagranicą? Ktoś może zarzucić mi asekurację — z osiągnięciem w kulturze rozliczyć się trudno czy w ogóle nie sposób, a w tamtych resortach trzeba mieć wyniki absolutnie sprawdzalne.

czyni z nich znakomity materiał na męzów stanu, czego błyskotliwym przykładem jest choćby pan Daniel Passent z „Polityki”. Jego diagnozy są zawsze trafne, bezpieczne, jego umiejętność sterowania między Scyllą a Harybdą, czyli między aktualną a przyszłą władzą, choćby ta na razie jeszcze siedziała w więzieniu, jest niedoścignionym wzorem i sprawią, że co przeźorniejsi politycy nie ośmielają się otworzyć ust publicznie, zanim nie zapoznają się z felietonowymi wytycznymi zastępcy redaktora naczelnego „Polityki”.

Na tekę ministra kultury czyhałem również dlatego, iż istniała groźba poostawienia w tej funkcji profesora Krawczuka. To oznaczałoby koniec kultury polskiej, wydającej właśnie ostatnie tchnienie. Skoro już obydwu nas pogodziła pani Izabela

towarzystwie zupełnie nieprawdopodobnych i zupełnie niechcianych lektur. Uplynnijac remanenty z całego pracowitego profesorskiego zycia u poslusznym ministrowi wydawcow, profesor Krawczuk nie mial juz wiele czasu na sprawy kultury, a gdy juz przyszlo mu od czasu do czasu zajrzec do tej stajni Augiasza, jego wzrok i usta cechowal niezlomny urzedowy optymizm w stylu felietonisty Jerzego Urbana.

Miejmy nadzieje, ze pani Cywińska nie ma az tak wielkich ambicji wydawniczych, a jej optymizm okaze sie umiarkowany. Ja takze nie mam zaleglosci wydawniczych, totez polecam swoje uslugi premierowi jako kandydat o czystym koncie wydawniczym i zerowym w banku. A co do optymizmu, to sie po prostu zobacz.